



HARLEQUIN®

ŚWIATOWE ŻYCIE®



MIŁOŚĆ
PRIMABALERINY
CAROL MARINELLI

Carol Marinelli

Miłość primabaleriny

Tłumaczenie:
Maria Nowak

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dziś wieczór będzie tańczyła.

Ta myśl, niczym iskra, obudziła w niej cichy, ukryty płomień. Czym było uczucie, które przepełniało ją za każdym razem, kiedy przygotowywała się do wyjścia na scenę? Zamknęła oczy. Nazwałaby je... uroczystą radością. Albo może niecierpliwym, pełnym ekscytacji skupieniem. Lata mijały, Ania Iliuszyn dawno już skończyła szkołę baletową, dzięki swojej naiwnej bezczelności i tytanicznej pracy utorowała sobie drogę do znanego rosyjskiego zespołu, odpracowała swoje jako stażystka, dziś była primabaleriną, a jej miłość do tańca trwała. Nawet więcej – wciąż rosła. Każde wyjście na scenę było wyjątkowe. Na każde czekała jak dziecko na Wigilię Bożego Narodzenia. I każde przekuwała w sukces, który skrupulatnie zachowywała w pamięci, jak skąpiec, ukrywający złote monety pod siennikiem.

Taniec był jej życiem. Podporządkowała mu wszystko – swoje ciało i duszę, swój czas, każdy dzień – od pobudki o świcie, po wieczorny spoczynek, na który udawała się zawsze o bardzo rozsądnej porze. Podziwiano jej filigranową, smukłą sylwetkę, w której drzemała niespożyta energia. Zastanawiano się, jak ta drobna kobietka jest w stanie podołać morderczym treningom, które sobie codziennie narzuca. Zachwycano się jej niepowtarzalnym stylem, łączącym bezbłędny warsztat i pełną emocji ekspresję. Wróżono jej wielką karierę i głowiono się nad zagadką, jaką była Ania Iliuszyn.

Tabloidy nie przepadały za nią, bo nie dostarczała tematów do plotek. Nazywały ją więc „żelazną baletnicą” albo „królową śniegu”. Ania nie starała się ocieplić swojego wizerunku, wręcz przeciwnie, zdawało się, że robi, co może, żeby pokazać, że brukowce się nie mylą. Od lat nie opuściła żadnego treningu, nie przyznała sobie taryfy ulgowej nawet wtedy, gdy dotarła na szczyt. Jej szczuplutkie ciało działało niezawodnie, jak nad po-

dziw solidna, precyzyjna maszyna. Chłodny uśmiech skutecznie studził zapalę wielbicieli, którzy wyobrażali sobie, że kosztowne upominki i wyszukane komplementy zrobią wrażenie na rosyjskiej balerynie i utworzą im drogę nie tylko do jej garderoby, ale i do buduaru. Im więcej przybywało rozczarowanych fanów, tym bardziej utrwałała się opinia, że Ania Iliuszyn jest zimna jak lód. Piękna, nieprzystępna królowa śniegu.

Nie przeszkadzało jej to. Dopóki dostawała angaże, ludzie mogli mówić o niej, co im ślina na język przyniosła. Bo tak naprawdę ludzie niczego o niej nie wiedzieli. Nikt nie znał jej sekretu. Nikt nawet się nie domyślał, że źródłem jej energii i determinacji była tęsknota. Nikt nie wiedział, że Ania Iliuszyn żyje przeszłością.

A ona, za każdym razem, kiedy wychodziła na scenę, robiła to dla jednego, jedyne go człowieka. Zawsze tańczyła dla mężczyzny, którego kochała. Bo tańcząc, potrafiła przywołać magiczny czas, kiedy on przy niej był. Kiedy nie opuszczał żadnego z przedstawień, a ona, drobna, jasna postać na scenie, czuła na sobie jego wzrok, i to uczucie ją uskrzydlało.

Dziś od tamtych szczęśliwych dni dzieliły ją długie lata samotności, ale wiedziała, że kiedy tylko zabrzmie uwertura, a jej ciało, absolutnie posłuszne każdej nucie, rozplynie się w muzyce, zamieni w lekkość, w rytm, odmaluje ruchem zawiłą, romantyczną historię baletowego libretta – wtedy przeszłość powróci. Powróci na ten krótki czas, kiedy orkiestra będzie grać, a scena – tonąć w świetle reflektorów.

Tego wieczora znów zatańczy dla ukochanego.

Ania uniosła powieki, ciężkie od scenicznego makijażu, a wielkie zwierciadło odpowiedziało jej poważnym, skupionym spojrzeniem jej własnych, szarzielonych oczu. Jeszcze pół godziny do wyjścia na scenę. Jej drobna twarz była już pokryta jasnym, niemal białym pudrem, usta umalowane szkarłatną szminką, a powieki aż skrzyły się od złotego brokatu. Tym samym kolorem połyskiwał stroik z piór, wpięty w jej ciemne włosy, uczesane w idealnie gładki kok. Rozgrzewkę miała już za sobą, stopy mocno owinęła elastycznym bandażem i przygotowała pointy – te, w których zamierzała tańczyć, oraz dwie zapa-

sowe pary, na wszelki wypadek. Jak zawsze, każdy etap przygotowań do występu był zaplanowany w najmniejszych szczegółach, a ona miała dość wprawy, żeby realizować ten plan gładko i punktualnie, niemal co do sekundy. Odchyliła się na oparcie fotela i odetchnęła głęboko, koncentrując się na relaksie. Teraz wypije szklanekę wody kokosowej, oczywiście powoli i małymi łykami, zagryzając połówką banana. Drugą połówkę zje podczas antraktu, razem ze skrupulatnie wyliczonymi trzema kafełkami delikatnej, belgijskiej czekolady.

Ania uwielbiała belgijską czekoladę. Była tak słodka, jak jej wspomnienia.

Niespiesznie jedząc banana, powiodła wzrokiem po przestronnym wnętrzu, oświetlonym dużymi, mlecznobiałymi żarówkami wprawionymi w ramę lustra, które zajmowało całą długość ściany.

Miała teraz własną garderobę, nie musiała się tłoczyć z dziewczynami z zespołu we wspólnej przebieralni, gdzie wszystkie malowały się w hałasie i rozgardiaszu, przy mikroskopijnych toaletkach. Och, odsiedziała swoje przy jednym z tych maleńkich luster, setki razy nakładała makijaż potrącana przez koleżanki, które kręciły się i plotkowały jak najęte. Teraz mogła się rozkoszować ciszą i spokojem. Jej stroje wisały na ozdobnych wieszakach, a potrójne tremo w ozdobnych, staroświeckich ramach czekało, by ją przekonać, że ubrana w sceniczny kostium jest najpiękniejsza w świecie.

Osiągnęła tak wiele, właściwie wszystko, o czym marzyła, kiedy zdawała egzamin do szkoły baletowej. Wysoką pozycję w zawodzie, międzynarodową sławę. Była znana nie tylko z bezbłędnych technicznie wykonań najbardziej brawurowych ról baletowych, ale też z własnego stylu, który łączył w sobie idealną płynność i precyzję ruchów z niemalże dziką, pełną emocji ekspresją. Nieraz słyszała, że nikt przed nią tak nie tańczył. Nienaganny warsztat był solidnym fundamentem, na którym mogła oprzeć swobodę interpretacji – i nie wahała się tego robić. Tańczyła jak ktoś, kto z nikim się nie liczy, posłuszna jedynie muzyce i własnej, gwałtownej naturze. Była Rosjanką, balet miała we krwi.

Tak, miała dziś wszystko, o czym kiedyś mogła tylko marzyć. Wyrwała się z biednej dzielnicy Petersburga; teraz była obywatelką świata. Wyrwała się z ubóstwa, które było zmorą jej dzieciństwa. Była wolna, samowystarczalna i robiła to, co kochała.

Czyż to nie zabawne, że wciąż tęskniła za czasami, kiedy nie miała absolutnie niczego, nawet pewności, że dostanie talerz zupy na obiad? Tak, była biedna jak mysz kościelna, ale każdy jej dzień był wypełniony obecnością człowieka, którego kochała. Dziś była spełnioną, sławną primabaleriną; zapłaciła za to krwią, potem i łzami, a także dziesiątkami tysięcy godzin morderczego treningu. I niczego nie żałowała – powtarzała sobie to za każdym razem, kiedy tęsknota za ukochanym stawała się nie do zniesienia. Pewnego dnia on po prostu odszedł, a pustka, jaką po sobie zostawił, była bardziej dotkliwa, niż głód i chłód, które cierpiała przed laty.

Zamyślona, oparła łokcie na gładkim, marmurowym blacie toaletki. Był na tyle przestronny, by pomieścić nie tylko przybory do układania włosów i do makijażu, ale też wszystkie maleńkie talizmany. Jak każda artystka sceniczna, Ania była przesądna. Namiętnie zbierała drobiazgi, które upamiętniały najszcześniejsze chwile jej życia. Kiedy przygotowywała się do wyjścia na scenę, musiała, po prostu musiała mieć pod ręką całą kolekcję. Było tu naprawdę stare, pomięte sreberko po czekoladzie, drewniana łyżka z rzeźbioną rączką, kolorowy frędzel, który dawno temu ozdobił wełniany, damski szal. Był tu maleńki złoty kolczyk bez pary – drugi Ania zgubiła tego pamiętnego wieczora, kiedy straciła niewinność, na wygniecionym sienniku, w obskurnym pokoju, który jej ukochany zajmował w najtańszym hotelu robotniczym Petersburga. Było też drewniane puzderko, a w nim postrzępiony skrawek materiału z wyblakłym nadrukiem. Tę metkę przechowywała z pietyzmem od dnia, kiedy oderwała ją ukradkiem od pościeli, którą kupił specjalnie dla niej, żeby nie musiała sypiać z nim na przetartym prześcieradle, pod szorstkim, wełnianym kocem...

Ania ścisnęła w palcach chłodny metal kolczyka i przymknęła oczy. Trwała tak przez chwilę, poruszając bezgłośnie wargami, jakby wypowiadała jakieś zaklęcie. Wreszcie uniosła kolczyk do

ust, pocałowała go głośno, z emfazą, i odłożyła na blat toaletki. Westchnęła głęboko, zamrugła i przywołała się do rzeczywistości. Marszcząc brwi, pochyliła się do lustra, żeby jeszcze raz dokładnie skontrolować makijaż, i oczywiście uznała, że trzeba go poprawić. Jeszcze raz upudrowała czoło i policzki, poprawiła zarys ust ciemną konturówką, sprawdziła, czy gęste wachlarzyki sztucznych rzęs trzymają się mocno na swoim miejscu, czy żadne niesforne pasemko włosów nie zamierza wymknąć się z upięcia, a stroik z piór na pewno nie obluzuje się podczas przedstawienia. Kiedy była absolutnie pewna, że każdy szczegół jest idealnie dopracowany, nacisnęła przycisk dzwonka. Garderobiana stanęła w drzwiach niemal natychmiast. Żadna z kobiet się nie odezwała, bo też i nie trzeba było słów. Obydwie znały na pamięć ten taniec, jakim było przygotowanie primabaleriny do wyjścia na scenę. Ania wstała i zsunęła z ramion jedwabny peniuar, a garderobiana zdjęła z wieszaka kostium. Tancerka uniosła ręce, a jej pomocnica ostrożnie i w skupieniu oblekła ją w strój, który miał sprawić, że na tę noc, jeszcze raz, Ania Iliuszyn stanie się kimś innym. Idealnie dopasowany, głęboko wydekoltowany gorset mienił się wszystkimi barwami ognia, zawile, roztańczone wzory przywoływały na myśl płomienie, a dziesięciowarstwowa spódniczka tutu miała złocistoczerwony kolor gorącego żaru. Zamek błyskawiczny, ukryty w zaszewce na plecach, zapiął się bez trudu. Chłodny, gładki materiał kostiumu zamknął gibkie ciało tancerki w mocnym uścisku.

Ania Iliuszyn przemieniła się w Ognistego ptaka.

ROZDZIAŁ DRUGI

- *Merde!* - Garderobiana uśmiechnęła się od ucha do ucha, rzucając francuskie przekleństwo, które, jak chciał kolejny przesąd funkcjonujący w świecie baletu, miało przynieść szczęście na scenie. Ania odpowiedziała jej uśmiechem, wspięła się na palce i okręciła w piruecie, a kryształowe tremo ukazało ob-raz jej smukłej sylwetki, gibkiej i lekkiej jak płomień.

Mamoczka, gdybyś tylko mogła mnie zobaczyć...

Jak zawsze, ostatnią myśl przed wyjściem na scenę poświęciła matce. Katia Iliuszyn była twardą kobietą. Harowała jak stachanowiec, żeby zapewnić córcę, którą wychowywała samotnie, dach nad głową i miskę ciepłej strawy. Odkąd Ania pamiętała, matka zajmowała posadę kucharki w petersburskim sierocińcu. I marzyła o lepszej przyszłości dla córki. A gdy Katia o czymś marzyła, parła ku temu jak radziecki czołg.

Ania miała dziewięć lat, kiedy matka umyśliła sobie, że pošle ją do szkoły baletowej. I tego samego dnia beztraskie dzieciństwo skończyło się, jak nożem uciął. Zaczęły się wymagania. Ania nie mogła przybrać na wadze. Musiała dbać o linię, pracować nad nienaganną postawą. „Głowa do góry, plecy proste, brzuch wciągnięty” - komenderowała Katia znad sagana, do którego wrzucała, jeden po drugim, ziemniaki obierane błyskawicznymi, precyzyjnymi ruchami noża. A potem, kiedy Ania znalazła się na liście przyjętych do pierwszej klasy, razem z matką przez cały dzień śmiały się i płakały z radości.

Minęły wakacje i radosny nastrój prysł, zastąpiony przez wojskowy rygor. Ania musiała trenować codziennie pod czujnym okiem matki. Ze szkoły nie wracała do pustego domu, szła do sierocińca, Katia wpuszczała ją przez kuchenne drzwi. A potem kazała córcę powtarzać, powtarzać i jeszcze raz powtarzać ćwiczenia, których tego dnia nauczyła się na lekcjach. Całe szczęście, że Ania miała prawdziwą smykałkę do tańca, więc im wię-

cej ćwiczyła, tym bardziej kochała to zajęcie.

Spasiba, mamoczka - powiedziała bezgłośnie. Teraz, kiedy Katia już nie żyła, Ania chciała pamiętać tylko dobre chwile. Była wdzięczna matce, naprawdę wdzięczna, mimo wszystko. Gdyby nie jej upór, gdyby nie ciężka ręka, która wymierzyła córce nie jeden siarczysty policzek, kto wie, kim byłaby dzisiaj? Kucharką, pomywaczką? A może, nie daj Bóg, uprawiałyby najstarszy zawód świata, byle tylko zarobić na utrzymanie?

Był czas, kiedy święcie wierzyła, że nienawidzi matki, jej apodyktycznego charakteru i ciężkiej ręki. Lata mijały, Ania robiła, co mogła, żeby wymknąć się spod matczynej kontroli, ale Katia miała oczy dookoła głowy. Narzuciła córce żelazne zasady: zero słodyczy, zero używek, zero mężczyzn. Ania nie byłaby sobą, gdyby nie usiłowała złamać tych zasad. Ale nigdy nie udało jej się zmylić czujności matki. Jak Katia to robiła, że zawsze wiedziała, kiedy córka zgrzeszyła przeciw którejś z nich? Ania nie miała pojęcia. Ale dobrze pamiętała piekący ból, gdy matka, z lodowatą konsekwencją, za każde przewinienie wymierzała jej policzek. Albo dwa. Dobrze pamiętała swój bunt, ale i swoją beztroskę. Katia czuwała nad nią; nic złego nie mogło się jej przytrafić. Odkąd matki zabrakło, prześladowała ją świadomość, że jest sama na świecie. Taniec uspokajał - robiła to, co miała robić. Niemalże widziała, jak Katia z aprobatą kiwa głową.

Zastukano do drzwi.

- Już czas - wyszeptał zaaferowany asystent.

- Jestem gotowa. - Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie w lustro, prosto w poważne, pełne napięcia oczy Ognistego ptaka. Trema, niewidzialny upiór, tak dobrze jej znany, a jednak ciągle groźny, już się skradał, powoli i nieubłagane, by chwycić ją za gardło. Nie przejęła się tym. Już dawno nauczyła się żyć w zgodzie z tremą. Mało tego - szanowała ją. Gdyby pewnego dnia straciła rozum i zechciała wyjść na scenę nieprzygotowana, trema nie pozwoliłaby jej na to. Była pożyteczna jak groźny, stróżujący pies, a Ania wiedziała, jak ją obłaskawić. Skupiła się na równym, głębokim oddechu. Powiedziała sobie, że jest świetnie przygotowana i nie ma żadnego, najmniejszego powodu do pa-

niki. Wszystkie kroki tańca przećwiczyła tyle razy, że potrafiła-
by wykonać je chyba nawet przez sen. Były częścią jej samej,
zapisane na zawsze w podświadomej pamięci jej ciała. Trzyma-
jąc się tej myśli, ruszyła przez labirynt korytarzy, ku scenie lon-
dyńskiego teatru. Tego wieczora *Ognisty ptak* miał być grany
po raz ostatni przed angielską publicznością. Ania czuła, że bę-
dzie to wyjątkowe przedstawienie.

- *Merde!*

Wszyscy, których mijala - asystenci, garderobiani, stadka
podekscytowanych, młodziutkich baletnic z zespołu, tancerze
i technicy, z lubością rzucali za nią brzydkie słowo, które
w świecie baletu zastępowało życzenie powodzenia. Dziękowała
skinieniem głowy, zbyt skupiona, by wdawać się w pogaduszki.

Jej partner sceniczny, Misza, odtwórca roli Iwana Carewicza,
był już za kulisami, gotów do występu. Bordowy kostium pod-
kreślał jego atletyczną budowę, kiedy, stojąc przed lustrem, mo-
cował nakrycie głowy, które niebawem miało zostać przyozdo-
bione jednym ze złocistych piór Ognistego ptaka. Skinął głową
Anii, a ta odpowiedziała mu podobnym, oszczędnym gestem.
Żadne z nich się nie odezwało, żadne nie wypadło z rytmu wła-
snych przygotowań do wyjścia na scenę. Tak czy owak, nie mie-
li sobie wiele do powiedzenia. Prasa pełna była plotek o pło-
miennym romansie, który ich łączył, ale były to, od początku do
końca, brednie wyssane z palca przez gryzipiórków o zbyt buj-
nej wyobraźni. Nie dementowali ich. Ostatecznie, oboje byli ar-
tystami i wiedzieli, że im bardziej pikantne są plotki, tym więcej
ciekawskich zapełnia widownię podczas każdego spektaklu. Mi-
sza cieszył się reputacją donżuana, nie miał więc nic przeciwko
temu, że głoszą, że rozkochał w sobie zimną, perfekcyjną
i nieprzystępną Anię Iliuszyn. Ona także nie zamierzała niczego
dementować, dlatego właśnie, że naprawdę była zimna i nie-
przystępna. Jeśli pogłoska o jej związku z solistą mogła zniechę-
cić zbyt natrętnych adoratorów, gotowa była utrzymywać iluzję.
To, co ludzie o niej mówili, nie obchodziło jej ani trochę. Kiedyś
była inna - choć tamte czasy zaczynały się zacierać w jej pamię-
ci. Kiedyś była radosna i ufna, życzliwa dla wszystkich, pełna
 optymizmu i nadziei. Kiedyś śmiała się często i głośno, z czystej

radości tańczyła na śniegu, pod parkowymi latarniami Sankt Petersburga, i snuła szalone, szczęśliwe plany na przyszłość.

Potem zamknęła się w sobie, stała się aż do przesady ostrożna, poważna, pragmatyczna. Niektórzy twierdzili nawet, że była zgorzkniała i cyniczna. Skąd ta zmiana? Wyjaśnienie było proste. Kiedyś była zakochana. Każdego wieczora, po skończonym treningu, jak na skrzydłach biegła do swojego mężczyzny. Co z tego, że oboje byli biedni jak myszy kościelne, żadne z nich nie miało niczego, poza ogromnym apetytem na życie. Byli młodzi, zdolni, kochali się. Choćby i nie mieli grosza przy duszy ani dachu nad głową, świat stał przed nimi otworem.

Ale ta radosna beztroska skończyła się nagle. Ukochany porzucił ją, z dnia na dzień, bez słowa pożegnania. Czy złamał jej serce? Nie. On je zmiądzzył. I podarł na strzępy. Nigdy nie czuła takiego bólu. Nie wyobrażała sobie nawet, że można doświadczyć równie intensywnego cierpienia i nie umrzeć. A jednak – przeżyła. Niczym Ognisty ptak, podniosła się z popiołów. Wybiła się, używając swojego cierpienia niczym trampoliny. Dziś była z tego dumna.

Ukochany odrzucił jej miłość? Cóż, serce miała jedno, i zostało ono całkowicie, doszczętnie roztrzaskane. Mężczyźni przestali dla niej istnieć. I tak nie mogłaby żadnego pokochać, wybrała więc taniec – odtąd był jej jedyną pasją, jedyną miłością i celem. Ofiarowała mu całą energię i całe uczucie.

Warto było – pomyślała z dreszczem satysfakcji, wsłuchana w melodię uwertury, gotowa, by pojawić się na scenie. Warto było oddać wszystko, żeby przeżyć chwilę taką jak ta.

- *Merde* - rzuciła niemal bezgłośnie do Miszy, a ten odpowiedział jej samym ruchem warg.

W następnej chwili znieruchomiał i Ania mogła zobaczyć, jak tancerz wycisza się, głuszy emocje i gasi każdą myśl. Misza musiał umrzeć, żeby mógł się narodzić Iwan Carewicz. Raz i dwa, i trzy, i raz... Rozbrzmiał jeden takt, zaczął się drugi, i dokładnie wtedy, gdy nostalgiczne skrzypcowe solo urwało się, Carewicz pojawił się na scenie, która wyobrażała magiczny ogród. Sama za kulisami, Ania stanęła w pozycji, wzięła głęboki oddech i pozwoliła, żeby muzyka obudziła Ognistego ptaka i po-

prowadziła go do magicznego ogrodu. Kiedy muzycy uderzyli w ton, na który czekała, rozłożyła ramiona.
I pofrunęła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Światło reflektorów odnalazło ją, wirującą z zawrotną szybkością w serii płynnych piruetów, i sprawiło, że jej strój rozbłysnął blaskiem ognia. Przez widownię przetoczyło się westchnienie zachwytu, a ona poczuła się tak, jakby u jej ramion wyrosły prawdziwe skrzydła. Smukła i gibka niczym chybotliwy płomień, tańczyła jeszcze chwilę, by przyciągnąć wzrok Carewicza, a potem ukryła się wśród krzewów magicznego ogrodu, po drugiej stronie sceny. Gdy zaintrygowany Iwan szukał Ognistego ptaka, ona, w ukryciu, pracowała nad wyrównaniem oddechu, by za chwilę wykonać kolejne, wirtuozerskie solo.

Ależ piękny jest Ognisty ptak, pomyślała, kiedy muzyka wprowadziła ją znów na środek sceny. Delikatny i eteryczny, zdawał się unosić w powietrzu lekko, swobodnie, bez najmniejszego wysiłku. Niesiony przez muzykę, oddychający światłem... Nikt z widzów nie wiedział, w jakich bólach rodziło się to zachwycające stworzenie. Niekończące się ćwiczenia, treningi i próby, miesiące restrykcyjnej diety, wieczory i ranki, których nie potrafiła policzyć, gdy zasypiała i budziła się, słysząc w głowie każdy takt muzyki Strawińskiego, odtwarzając w pamięci wszystkie kroki tańca. Dziś, podczas finalnego przedstawienia, święciła swój triumf. Jeszcze nigdy Ognisty ptak nie wzleciał tak wysoko. Był uosobieniem piękna i doskonałości.

Kiedy Iwan Carewicz pochwycił Ognistego ptaka i uniósł go w ramionach, myśli Anii poszybowały ku ukochanemu. Och, gdyby mógł ją teraz zobaczyć, pełną blasku, pełną życia, olśniewającą niczym drogocenny klejnot!

Czy żałowałby, że ją porzucił?

Ich miłosna przygoda trwała zaledwie dwa tygodnie, ale ona nie potrzebowała więcej, żeby go pokochać. Na śmierć i życie, bo taką już miała rosyjską duszę. Nie przestała go kochać, kiedy ją porzucił, bezlitośnie, niemal bez słowa.

Przez dziesięć upiornie długich lat nie miała od niego żadnej wiadomości. Zadręczała się myślą, że mógł zginąć... Mógł od dawna być martwy, a ona nic o tym nie wiedziała!

Potem, pewnego dnia w Paryżu, przekonała się na własne oczy, że on żyje. Poczowała niezmierną ulgę, ale i śmiertelny smutek – bo stało się dla niej jasne, że o niej zapomniał; wykreślił ją, jednoznacznie i definitywnie. Ona także powinna była o nim zapomnieć... ale nie potrafiła.

Minęły kolejne dwa lata, a w jej głupim sercu wciąż tliła się nadzieja. Może jeszcze kiedyś go zobaczy. Może to, co ich podzieliło, okaże się nieporozumieniem, złym snem. Może będą mogli, jeszcze raz, zacząć wszystko od początku.

Ognisty ptak i Iwan Carewicz, idealnie zgrani, wykonali kunsztowne, widowiskowe *pas de deux*, a potem Ania została sama na scenie. Podczas ostatniej partii solowej przed antraktem dała z siebie wszystko. Każdy jej krok, każdy gest był ucieleśnieniem lekkości i gracji, każdy zachwycał śmiałością i precyzją. Na widowni panowała taka cisza, jakby wszyscy widowie wstrzymali oddech, wpatrzeni w fascynujące zjawisko. Jakim cudem kobieta tak drobna, szczuplutka niczym nastolatka, mogła być tak niesłychanie sprawna i wytrzymała? Jej ciało wydawało się pozbawione ludzkich, fizjologicznych ograniczeń, całkowicie posłuszne muzyce, zamysłowi choreografa i fantazji tancerki.

Kiedy kurtyna opadła, Ania poszła powoli do swojej garderoby. Dziewczyny z zespołu próbowały ją zagadywać, ale zbyła je enigmatycznym uśmiechem i zamknęła za sobą drzwi.

Musiała złapać oddech.

Miała wrażenie, że jej ciało naprawdę płonie, jakby szalona muzyka skrzypiec wznieciła w niej pożar. Nie mogła pozwolić, żeby ten ogień ją spalił. Musiała zachować siły na drugą część występu. Opadła na fotel i chwyciła butelkę z wodą. Choć mogłaby wypić duszkiem całe dwa litry, pozwoliła sobie tylko na kilka łyków. Nie powinna przeciążać żołądka. Powolutku zjadła drugą połowę banana, a potem zamknęła oczy, wsunęła do ust kawałek czekolady i pozwoliła, by wypełniła ją kojąca słodycz.

Przerwa nie trwała długo. Niebawem zastukano do drzwi i chwila relaksu się skończyła. Asystentka i garderobiana wypełniły pomieszczenie krzątanicą, sceniczny makijaż Anii został szybko i fachowo odświeżony. Musiała unieść ramiona i pozwolić, żeby garderobiana sprawdziła, czy kostium nie wymaga poprawek. Kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik, Ania znowu ruszyła przez labirynt korytarzy, żeby, kiedy przywoła ją muzyka, pojawić się na scenie.

Ognisty ptak nie zawiódł ani Carewicza Iwana, ani widowni. W drugiej części spektaklu wzleciał jeszcze wyżej, załśnił jeszcze jaśniej. Wszystkie zaczarowane stwory, które pojawiały się na jego drodze, pierzchały i kryły się w cieniu, kiedy tańczył, piękny i groźny jak sam ogień. Dzięki jego pomocy waleczny Iwan pokonał złowrogiego Kościeja i zdobył serce pięknej księżniczki. Ania nie pojawiała się w finałowej scenie. Ognisty ptak odleciał, wolny na zawsze, gdy Carewicz, przewyciężywszy wszystkie przeszkody, mógł wreszcie rozpocząć długie i szczęśliwe życie z ukochaną.

Ania zniknęła za kulisami i usiadła na podłodze tam, gdzie stała. Była całkowicie, doszczętnie wyczerpana. Wydawało jej się, że nie ma siły nawet walczyć o następny oddech. Ale kiedy kurtyna opadła i przez widownię przetoczył się grzmot oklasków, poczuła, że wracają jej siły. Kurtyna uniosła się ponownie i Ognisty ptak pojawił się na scenie, pełen wdzięku i idealnie spokojny, jak gdyby naprawdę był magicznym stworzeniem, które potrafi wyczarować nieskończoną ilość nowej energii.

Kiedy skłoniła się, widzowie wstali z miejsc, nie przestając klaskać. Uśmiechając się szeroko, skłoniła się znowu. O tak, z całą pewnością zasłużyła na taką owację. Była zupełnie pewna, że jeszcze nigdy nie dała tak znakomitego tanecznego popisu. Publiczność musiała podzielać jej zdanie, bo na scenę posypał się deszcz róż. Ania zebrała je wszystkie, zanurzyła twarz w kojącym, wonnym chłodzie delikatnych płatków, wyprostowała się, wciąż uśmiechnięta, szerokim gestem dłoni przesłała widzom całusa...

- *Brawo, krasawica!*

Jakim cudem usłyszała wyraźnie ten jeden okrzyk pośród se-

tek innych? Nie miała pojęcia. Ale tak właśnie się stało – nagle zatrzymał się czas, prysła rzeczywistość. Istniał tylko ten głos, głęboki baryton, który rozpoznała natychmiast, nie rozumem, nie pamięcią, lecz sercem.

Zamarła i chwyciła się tego głosu całą siłą swoich nagle obudzonych emocji. Uniosła twarz w stronę, z której dobiegał, ale jaskrawe światło sceny oślepiło ją, nie pozwalając dostrzec tego, kto wołał.

Ona jednak i tak go widziała – oczami duszy.

Roman Zwieriew był na widowni. Wiedziała to z całą pewnością, a jednak nadal nie mogła uwierzyć. Oto wydarzyło się coś, na co czekała od lat, i ten moment był tak wspaniały, tak szczęśliwy, że aż ją to przeraziło.

- *Zamieczatelnij tanec!* – pomimo burzy oklasków usłyszała znów jego głos.

Roman Zwieriew, powtórzyła w myślach.

I w tej samej chwili przed jej oczami stanęła cała przeszłość, każdy dzień wypełniony jego obecnością. Przez dwanaście lat wydawało jej się, że pamiętała wszystko. Ale dopiero teraz wspomnienia ożyły, wskrzeszone pięknym, męskim barytonem, który wciąż wibrował w jej uszach.

- Tylko mi się nie zacznij uganiać za chłopakami. – Katia pogroziła córce palcem. – Myślisz, że nie zauważyłam, jak się przyglądasz tej trójce? – ciągnęła, robiąc szeroki gest chochlą w stronę drewnianego stołu, przy którym kilku wyrostków, huśtając się na krzesłach i gadając, czekało, aż kucharka napelni ich talerze.

- Ale ja wcale nie... – zaprotestowała nieudolnie dwunastoletnia Ania. Nie potrafiła kłamać, a już na pewno nie przed matką. Prawda była taka, że owszem, był chłopak, któremu uwielbiała się przyglądać... I gdyby miała okazję, kto wie, czy nie zaczęłaby się za nim uganiać.

Roman Zwieriew. Wysoki jak na swój wiek chudeusz. Nawet gram tłuszczu nie łagodził kanciastych, mocnych linii jego sylwetki. Ciemne włosy opadały wzburzoną grzywą na jego szczy-

płą twarz o ostrych rysach, spojrzenie miał wiecznie ponure i nigdy się nie uśmiechał. W każdym razie Ania nigdy nie widziała, by się uśmiechał, choć kiedy tylko mogła, rzucała ukradkowe spojrzenia na jego usta. Po prostu nie mogła inaczej – ich rysunek, twardy, a jednocześnie zaskakująco zmysłowy, przyciągał jej wzrok z siłą, której nie potrafiła się przeciwstawić.

- A już zwłaszcza od Romana trzymaj się z daleka – podjęła Katia, hojnie posypując zupę natką pietruszki. – To zły chłopak.

- Nieprawda. – Ania wbiła wzrok w deski podłogi i skuliła ramiona. – On nie jest zły. I bardzo tęskni za bratem...

- Tęskni za bratem, dobre sobie! – Katia wzięła się pod boki, zacisnęła usta w grymasie dezaprobaty. – Widziałaś przecież, co mu zrobił. Tak go wygrzmocił pięściami, że biedny Danil długo nie widział na lewe oko, a bliznę na policzku będzie miał do końca życia! Roman to dzikus i narwaniec. Jeśli by mnie kto pytał, powiedziałabym, że urządził brata na cacy, bo mu zwyczajnie zazdrości. Swoją drogą nie rozumiem, dlaczego ci angielscy bogacze uparli się, że adoptują jednego z bliźniaków, a drugiego zostawiają. Niezbyt to ładnie, ale cóż, płacą, to wymagają. W każdym razie, Danil od razu wpadł im w oko, a Romana nie chcieli, bo i kto by chciał takiego kościstego, ponurego wyrostka? Może to nic dziwnego, że się wściekł i postanowił zdefasnować bratu facjatę, tak żeby jego też nie wzięli.

Ania milczała. Wiedziała, że prawda jest zupełnie inna, ale matka i tak by jej nie uwierzyła. Najpewniej w ogóle nie chciałaby słuchać, tylko z miejsca ofuknęłaby ją i kazała brać się za robotę. Obiad musiał być wydany na porę, a w kuchni nie było miejsca dla darmozjadów.

Wyjęła cztery wielkie bochny razowego chleba, położyła na blacie i zaczęła kroić, spode łba przyglądając się Romanowi. Chłopak rzucił właśnie jakąś uwagę, krzywiąc wargi w cynicznym grymasie, a jego dwaj przyjaciele, Sev i Nikołaj, wybuchnęli zachwyconym rechotem. Ania uśmiechnęła się także – skoro Romanowi chciało się żartować, to znaczy, że musiał się czuć trochę lepiej.

Ale dobrze wciąż nie było, i być nie mogło. Po bijatyce z bratem Roman został przeniesiony do zamkniętego skrzydła – tego,

gdzie mieszkali najstarsi chłopcy, ci naprawdę niebezpieczni. We wszystkich oknach były tam kraty, a drzwi pozostawały zawsze zamknięte. Roman spędzał smutne, samotne dni w obskurnej świetlicy *Dietskiego Domu*, i jeszcze bardziej samotne noce w sypialni małej jak więzienna cela. Z Sevem i Nikołajem, przyjaciółmi, z którymi od lat dzielił wspólny pokój, mógł się widywać tylko podczas posiłków.

Ania też wyczekiwała tych chwil. Żyła, żeby tańczyć. I żeby ukradkiem przyglądać się Romanowi. Kiedy nie pomagała Katii przy gotowaniu i podawaniu posiłków, ćwiczyła taneczne *pas* na drewnianej podłodze wielkiej kuchni *Dietskiego Domu*. Najbardziej lubiła te chwile, kiedy, tańcząc, czuła na sobie intensywne, ciemne spojrzenie Romana. Dzisiaj jednak nie patrzył w jej stronę. Był blady i miała wrażenie, że jego rysy jeszcze bardziej się wyostrzyły. Schudł...? Bardzo prawdopodobne. Czy tylko ona domyślała się, ile poświęcił dla brata i jak bardzo musiał cierpieć teraz, kiedy od Danila dzieliły go tysiące kilometrów, a szansa, że jeszcze kiedykolwiek się zobaczą, była znikoma?

Katia mogła sobie mówić, że Roman to zły chłopak. Ania wiedziała swoje. Bogate małżeństwo z Anglii, które przyjechało, żeby adoptować chłopca z rosyjskiego sierocińca, początkowo zainteresowało się oboma braćmi - bliźniacy trenowali boks i nauczyciele mówili, że obaj są naprawdę zdolni. Ale wystarczył jeden krótki spacer do pobliskiego parku w towarzystwie braci Zwieriewów, żeby przybysze zmienili zdanie. Nie, o Romanie mowy być nie mogło. Wydawał się zbyt nieokrzesany, zbyt ponury. Istny dzikus, po którym można się było spodziewać najgorszych rzeczy. Owszem, bogacze chcieli zrobić dobry uczynek i podarować życiową szansę biednemu sierocie, ale aż takiego ryzyka podjąć nie zamierzali. Kto wie, czy ten cały Roman pewnej nocy nie poderżnąłby im gardła? Co innego Danil. Choć zaniedbany, dobrze rokował. Gotowi byli zabrać go ze sobą. Tyle, że Danil nie był gotów jechać. Zaparł się, że bez brata nigdzie się nie ruszy. Anglicy zajęli się załatwianiem dokumentów, a dyrektor *Dietskiego Domu* zaczął rwać sobie włosy z głowy. Oto trafiała się wyjątkowa okazja, żeby oddać w dobre ręce jednego z podopiecznych, a ten stawał okoniem. Problem wydawał się

nie do rozwiązania, a jednak, już następnego dnia rozwiązał się sam. Bliźniacy się pobili. A dokładniej – Roman, zupełnie bez powodu, zaatakował brata. Tak w każdym razie twierdziły dzieciaki, które widziały całe zajście. Danil był do tego stopnia zaskoczony, że właściwie się nie bronił, podczas gdy Roman z zimnym okrucieństwem wymierzał mu cios za ciosem.

– Jesteś beznadziejny – wysyczał jeszcze, pochylając się nad bratem, gdy ten kulił się, osłaniając dłońmi zmasakrowaną twarz. – Jesteś beznadziejny i nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

To były ostatnie słowa, jakie Danil usłyszał od Romana. A może i nie usłyszał, bo wokół powstał rwetes. Potrzeba było trzech mężczyzn, żeby odciągnąć napastnika. Wykręcono mu ręce i zawleczono do izolatki. Następnego dnia Danil, ze swoją nową angielską rodziną, bez protestu opuścił Petersburg. I choć od tamtych wydarzeń minął miesiąc, *Dietskij Dom* wciąż jeszcze huczał od plotek o tym, jak Roman porachował kości własnemu bratu. Nie było dnia, by ktoś nie pytał go, dlaczego to zrobił, ale on uparcie milczał.

Zaczęto mówić, że Roman Zwieriew jest agresywny i nie zrównoważony. Zaczęto się go obawiać. Ania o wszystkim wiedziała – pracowała w kuchni, codziennie bywała w stołówce w czasie obiadu i kolacji, więc najświeższe plotki znała z pierwszej ręki. Często zastanawiała się, czy ktokolwiek poza nią rozumie, co tak naprawdę zrobił Roman. Owszem, pobił Danila, i to dotkliwie. Skrzywdził go, upokorzył i odtrącił. Wszystko dlatego, że pragnął jego szczęścia. Adopcja przez bogatą rodzinę z zachodu Europy była niespotykaną szansą na wyrwanie się z zakłętą kręgą samotności i nędzy. Szansą na lepsze życie. Na prawdziwe życie. Roman nie chciał, by Danil wyrzekł się tej szansy ze względu na niego. Więc, aby zapewnić bratu szczęście, poświęcił swoją więź z nim i swoją wolność – czyli wszystko, co miał.

Kiedy ukradkiem spoglądała na jego szczupłą twarz o nieprzeniknionym, chłodnym wyrazie i myślała o tym, do jakiego poświęcenia był zdolny w imię miłości do brata, czuła, że jej serce wzbiera potężnym, gorącym uczuciem. Podziwiała go. I kochała.

Mijały dni, jeden podobny do drugiego. Po lekcjach, zamiast do zimnego i pustego mieszkanka na poddaszu, które zajmowały z matką, biegła do *Dietskiego Domu*. Tutaj było ciepło i gwarano. Matka zawsze miała dla niej trochę zupy, miszkę kaszy albo pierogów. Ania musiała zjeść swoją niewielką porcję pośpiesznie, w spiżarni, tak żeby nikt nie widział, że kucharka po kryjomu żywi jeszcze jednego głodomora. Jedzenia nigdy nie było tyle, by Ania zaspokoila głód, a o dokładce nie miała co marzyć.

- Czyś ty na głowę upadła? - Katia brała się pod boki. - Chcesz być gruba? Jeśli się roztyjesz, jako tancerka będziesz skończona. Musisz się nauczyć kontrolować apetyt.

I Ania się uczyła. Żeby zapomnieć o głodzie, pracowała. Albo tańczyła. Niezmordowanie powtarzała najtrudniejsze ćwiczenia, szlifowała do perfekcji coraz bardziej skomplikowane, coraz dłuższe układy taneczne. I nie przestawała wypatrywać Romana. Kiedy tylko pojawiał się w sali jadalnej, czuła dreszcz ekscytacji, jak w tych rzadkich dniach, gdy nad Sankt Petersburgiem królowało upragnione, gorące słońce. Popatrywali na siebie ukradkiem, i ta wymiana spojrzeń była tak emocjonująca, że Ania miała serce w gardle.

Czy Roman odwzajemniał jej uczucia? Intuicja podpowiadała jej, że tak jest, jednak pewności nie miała, bo i skąd? Nie wolno im było ze sobą rozmawiać. Ona miała siedzieć w kuchni, a on przychodził do jadalni tylko na posiłki, a potem wracał do strzeżonej części domu. Miał opinię agresywnego, więc opiekunowie nie spuszczaali go z oka. Ale codziennie powtarzał się moment - kilka sekund, które dla niej znaczyły więcej, niż cała doba - gdy podchodziła do stołu, przy którym siedzieli wychowankowie, niosąc posiłek. Kiedy Roman po raz pierwszy musnął palcami jej dłoń, sięgając po talerz, powiedziała sobie, że to był przypadek. Kiedy zrobił to znowu, poczuła gorący dreszcz budzącej się nadziei. Aż wreszcie przyszedł zupełnie niezwykły dzień.

Jak zawsze, gdy stawiała przed nim talerz, on odszukał palcami jej palce. Ale tym razem nie skończyło się na ukradkowym uścisku. Tym razem Ania poczuła, że Roman wsuwa coś w jej dłoń. Mały, płaski pakuneczek... Nawet nie spojrziała na to, co jej dał, nie ośmieliła się. Wsunęła pakunek do kieszeni fartucha,

pilnując, by cały czas patrzeć prosto przed siebie. Tak żeby nikt się niczego nie domyślił. Dokończyła roznoszenie obiadu i wróciła do kuchni. Odstawiła tacę, pokręciła się chwilę, i, zachowując doskonale obojętny wyraz twarzy, przemknęła do spiżarni. Obiad był już wydany, o tej porze matka nigdy tu nie zaglądała. Sama w półmroku niewielkiego pomieszczenia, pachnącego ziołami i suszonymi śliwkami, wyjęła z kieszeni paczuszkę. Wciąż pamiętała, jakby to było wczoraj, idealnie gładki, chłodny w dotyku papier... Spojrzała, i aż westchnęła ze zdumienia. To była mała tabliczka prawdziwej, belgijskiej czekolady. Ania widziała takie tchnące luksusem, złociste pudełeczka na wielkich, bażecznie kolorowych ekranach reklamowych, w bogatych dzielnicach miasta, ale do głowy jej nie przyszło, że kiedykolwiek będzie trzymać w rękach jedno z nich. Skąd Roman wytrzasnął taki rarytas? Przez dobrą minutę wpatrywała się w ozdobne łaćcińskie litery, których nie umiała przeczytać, a potem rozdarła złoty, szeleszczący papier.

Matka znalazła ją chwilę później. Kiedy drzwi spiżarni otworzyły się z impetem, Ania zdołała jeszcze wepchnąć sobie do ust ostatni kawałek czekolady. Potem był krzyk i piekący ból, gdy Katia wymierzyła córce policzek, a potem chwyciła ją za ucho i wywlekła ze spiżarni. Było całe kazanie o tym, jak zgubne dla baletnicy jest łakomstwo, i zapowiedź, że tego dnia, za karę, pójdzie spać bez kolacji. Ania przetrwała to wszystko, zagryzając wargi, żeby powstrzymać szeroki uśmiech.

Dostała od Romana prezent. Prawdziwy prezent!

To coś znaczyło.

To znaczyło... wszystko.

Złote opakowanie schowała skrzętnie, jak najdroższy skarb.

Kiedy następnego dnia stawiała talerze na stole w jadalni, jej oczy lśniły niczym dwa jeziora pełne dziewczęcych marzeń. Roman spojrzał na nią przelotnie, i kącik jego pięknie wykrojonych ust uniósł się w leciutkim uśmiechu.

Tę chwilę zapamiętała na zawsze. Znaczyła dla niej więcej, niż najbardziej romantyczne wyznanie. Ich rozmowa bez słów trwała długo. Mijały tygodnie i miesiące, a oni mieli dla siebie tylko kilka sekund dziennie, w jadalni, gdy on siedział przy sto-

le, a ona roznosiła talerze. Nadeszła długa, ciemna zima, i w Sankt Petersburgu rozszalała się epidemia grypy. Niemal wszyscy mieszkańcy sierocińca leżeli z gorączką, a tym, którzy się nie rozchorowali, zakazano opuszczać pokoje, żeby zminimalizować ryzyko zarażenia.

Ania zastępowała chorą matkę w kuchni i roznosiła posiłki. To był jedyny raz, kiedy pozwolono jej wejść samej do pokoju Romana. Nie mieli zbyt dużo czasu dla siebie i zupełnie nie potrafili ze sobą rozmawiać. Ale to nie miało znaczenia, bo rozumieli się znakomicie.

Potem epidemia minęła, przyszła wiosna, a po niej lato. Jesienią Ania zaczęła naukę w szkole z internatem i nie przychodziła już do *Dietskiego Domu*. Nurt życia rozdzielił tych dwoje – ona marzyła o tym, żeby po dyplomie dostać się do petersburskiego zespołu baletowego, a on, by jak najprędzej wyrwać się z więzienia, jakim był sierociniec. Postanowił sobie, że gdy tylko ukończy osiemnaście lat i przekroczy próg *Dietskiego Domu*, zostanie zawodowym bokserem. Wiedział, że da sobie radę. Ktoś, kto przeżył dzieciństwo w rosyjskim sierocińcu, nie bał się niczego.

Kiedy spotkali się ponownie, ona skończyła już szkołę, a on usiłował pięściami utorować sobie drogę do sławy i bogactwa. Dwoje młodych ludzi, którzy nie mieli nic, poza ogromnym apetytem na życie. Ich miłość była gwałtowna jak wiosenna burza. I równie krótka. Nie minęły dwa tygodnie, a skoczyli sobie do oczu, nazajutrz zaś Roman odszedł bez słowa wyjaśnienia. Przez lata obawiała się o jego życie; porzuciła nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczy. A kiedy jej najskrytsze marzenie się urzeczywistniło, i pewnego dnia przekonała się na własne oczy, że Roman jest cały i zdrowy, zobaczyła też coś, czego wołałaby nigdy nie widzieć.

Był z inną kobietą.

Jego życie, jego wybór, powtarzała sobie. Nie miała innego wyjścia, niż się z tym pogodzić. I aż do tej chwili była przekonana, że się jej to udało. Ale teraz, gdy dźwięk jego głosu wciąż rozbrzmiewał w jej uszach, czuła, jak odżywają dawne emocje. Żarliwa miłość i dzika tęsknota, cichy żal i mordercza wście-

kłość. A także radość, zupełnie nieracjonalna, nieśmiała, pełna niedowierzania. Roman! Co robił tutaj, w londyńskim teatrze?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ukloniła się jeszcze raz, uniosła dłoń w geście pożegnania. Kiedy kurtynę opuszczono po raz ostatni, dopadło ją zmęczenie. Zachwiała się, jakby na jej barki zwałił się kilkutonowy ciężar. Ostatkiem sił dobrnęła do garderoby, chwyciła butelkę mineralnej i, opadłszy na fotel, piła chciwie, wielkimi łykami. Dopiero teraz poczuła, że jej stopy pulsują nieznośnym, ostrym bólem, ale nie znalazła dość sił, żeby się schylić i rozsznurować baletki. Zresztą, zaraz i tak musiałyby je wkładać z powrotem – zwyczaj chciał, żeby tancerze przyjmowali ważnych gości ubrani w sceniczne stroje.

- Panno Iliuszyn...

- Tak? - Odstawiła prawie pustą butelkę na marmurowy blat, obróciła się w fotelu.

- Mam listę gości, których zespół będzie przyjmował tego wieczora – asystent przestąpił próg garderoby. – Jest też kilka osób, które proszą o osobiste spotkanie.

- Kto taki? - Poczowała, że serce ma w gardle. Oczywiście, osób, które chciały pogratulować primabalerinie, było sporo. Ania miała wrażenie, że lista nazwisk ciągnie się w nieskończoność. Ale nie było na niej tego jednego, które chciała usłyszeć tak bardzo, że bała się je wymówić nawet w myślach. Rozczarowanie było tak potężne, że aż zakręciło jej się w głowie.

- Czy to już wszyscy? - wyjąkała słabo.

Bała się usłyszeć odpowiedź.

- W zasadzie tak. - Asystent zawiesił głos. - Był jeszcze pewien dżentelmen, który prosił, żebym przekazał pani pewną rzecz. Podał nazwisko... Zew... nie, Zwieriew.

Bezwiednym gestem uniosła dłonie, przycisnęła je do piersi, jakby chciała w ten sposób uspokoić swoje głupie serce.

Przed rokiem, po premierowym przedstawieniu *Ognistego ptaka* na londyńskiej scenie, za kulisami pojawił się Danil Zwie-

riew. Przez moment, krótki jak jedno westchnienie, myślała, że ma przed sobą Romana. Ale to było oczywiście niemożliwe, i sama nie wiedziała, czy czuje żal, czy ulgę, kiedy się przekonała, że jej gościem jest drugi z bliźniaków. Ten rozsądniejszy. Ten, do którego czuła szczerą sympatię... i nic więcej. Impulsywnie rzuciła mu się na szyję, a on zamknął ją w krzepkich objęciach. Śmiali się oboje, swobodnie i beztrąsko – dwoje przyjaciół z dzieciństwa, którzy odnaleźli się po wielu latach.

- Ania, to naprawdę ty?!

- Danil! Oczom nie wierzę!

Tamto spotkanie było piękną, radosną chwilą. Wyszła wtedy z teatru spokojna i uśmiechnięta, tłumacząc sobie, że nawałnica emocji, którą przyniosłoby ze sobą Roman, nie jest jej do niczego potrzebna.

Dlaczego więc czuła przygnębienie na samą myśl, że i tym razem mogła się pomylić? Owszem, miło byłoby zobaczyć Danila. Ale Roman... miała wrażenie, że umrze z żalu, jeśli go nie zobaczy tego wieczora.

- Pan Zwieriew składa pani gorące gratulacje – recytował dalej asystent, patrząc w notatnik. - Chce, by pani wiedziała, że zawsze wierzył w to, że dojdzie pani na szczyt. Prosił też, bym przekazał pani ten drobiazg.

- Co takiego? - Zmarszczyła brwi, kiedy asystent wysupłał z teczki jedwabne zawiniątko.

Spojrzała i poczuła, że powietrze w jej płucach zamienia się w ogień.

Na czarnej tkaninie leżał maleńki, złoty kolczyk. Ten, który zgubiła przed dwunastu laty.

- Och... - zaczęła i straciła wątek. Wpatrzona w znajomy kształt, zatoneła we wspomnieniach. Dzwony biły właśnie dwunastą, gdy tamtego wieczora wracała do domu. Spóźniona, i to bardzo. Matka wymagała, by Ania meldowała się najpóźniej o dziewiątej. Na stole czekał na nią kubek zsiadłego mleka, kompotu z suszonych śliwek albo owocowej herbatki, a do tego miseczka kaszy gryczanej albo owsianki. Katia powtarzała zawsze, że jeśli córka chce odnieść sukces, musi o siebie dbać. Jeść mało, ale regularnie. Kłaść się na spoczynek o stałych po-

rach. I, przede wszystkim, nawet nie myśleć o randkach! Ania miała wrażenie, że w jej uszach dźwięczy surowy głos matki, gdy na palcach wspinała się po stromych, drewnianych schodach czynszowej kamienicy. Cichutko przekręciła klucz w zamku, modląc się w duchu, żeby Katia już spała. Jeśli będzie miała szczęście i zdoła się przekraść do swojego pokoiku, nie budząc jej, uniknie krzyżowego ognia pytań...

Nie miała szczęścia. Katia czekała na nią, siedząc przy drewnianym stole w sieni, która w maleńkim mieszkanku pełniła też funkcję kuchenki. Paliła papierosa; w mdłym świetle słabej żarówki siny dym unosił się powoli, rysując zawiłe wzory.

- Zgubiłaś kolczyk - rzuciła bez wstępów, posyłając córce twarde, wszystko widzące spojrzenie.

Ania zsunęła wełniane rękawiczki i bezwiednym gestem uniosła dłonie do uszu. Rzeczywiście, jednego kolczyka brakowało. Czy odpiął się wtedy, kiedy Roman koniuszkiem języka pieścił płatek jej ucha...? A może wtedy, gdy chwycił ją za włosy i pociągnął mocno, gwałtownie, a ona, ku swemu zaskoczeniu, poczuła dreszcz przyjemności...?

- Mamo, ja... - nie mogła mówić dalej. Wargi wciąż miała nabrzmięte, pulsujące od dzikich, zachłannych pocałunków Romana.

Katia podniosła się z za stołu, podeszła do córki. Ania zacisnęła usta, udając, że jest bez reszty zaabsorbowana rozwiązywaniem szalika, ale nie umiała ukryć rumieńców ani błysku szczęścia w oczach. Była niemal pewna, że matka domyśli się wszystkiego. Nie zdziwiła się więc, kiedy Katia, bez słowa uniosła dłoń i wymierzyła jej policzek. Jeden, drugi. I jeszcze jeden.

Minęło czternaście lat, a ona wciąż jeszcze zaciskała zęby na wspomnienie palącego bólu. I uśmiechała się bezwiednie, wracając myślami do szalonych chwil, które przeżyła ze swoim pierwszym i jedynym kochankiem. Nie żałowała niczego. Absolutnie niczego.

Odruchowo wyciągnęła rękę, żeby sięgnąć po swoją zgubę, ale zatrzymała się w pół gestu.

- Proszę przekazać panu Zwieriewowi, że przyjmę ten drobiazg tylko z jego własnych rąk - powiedziała, siląc się na obo-

jętny ton. - Niech się czuje zaproszony, by odwiedzić mnie w garderobie, gdy przyjmę już wszystkich oficjalnych gości przewidzianych na dzisiejszy wieczór.

Bóg jeden wiedział, jak bardzo chciała mieć znowu obydwie kolczyki. Dostała je od Katii, kiedy zdała egzamin do szkoły baletowej. Matka nigdy nie chciała powiedzieć, ile kosztowały, ale musiała wydać na nie dużą część swojej pensji. Ania dobrze pamiętała, jak świętowały tego dnia, i że potem, choć wciąż trwały wiosenne przymrozki, przez okrągły miesiąc nie stać je było na opał. Tak, te skromne, złote kółeczka, na których przysiadły dwa maleńkie, misternie wykonane skowronki, były nie tylko naprawdę ładne, ale - przynajmniej dla niej - magiczne, niczym klucz do świata, który już nie istniał. Dziś Katia nie żyła, mieszkanie na petersburskim poddaszu już dawno zajmował kto inny, a Ania wciąż chciała wracać, choćby we wspomnieniach, do czasów, gdy była biedna jak mysz kościelna, ale wciąż pełna niewinnej, szalonej nadziei...

I dlatego właśnie nie mogła - po prostu nie mogła - wziąć brakującego kolczyka z rąk kogokolwiek innego niż Roman. Jeśli jej wspomnienia miały wzbogacić się o kolejny rozdział, chciała, by był napisany tak doskonale, jak tylko to możliwe. Półśrodkami nie zamierzała się zadowolić.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Ania dołączyła do zespołu, żeby powitać angielską księżniczkę, która po skończonym spektaklu wyraziła życzenie, by osobiście pogratulować wykonawcom. Primabalerina uśmiechała się promiennie i odpowiadała na pytania księżniczki płynną angielszczyzną, nieco zabarwioną śpiewnym, rosyjskim akcentem. Równie uprzejmie rozmawiała z każdym kolejnym oficjalnym gościem. Poświęciła długą chwilę dziesięcioletniej córce jednego ze sponsorów, która marzyła o tym, by zostać baletnicą. Podarowała jej nawet parę prawdziwych, markowych point.

Tak jak na scenie, wykonała bez zarzutu wszystko, czego od niej oczekiwano. Nikt się nie domyślał, jak bardzo jest wzburzona. Niepewność, z każdą sekundą bardziej dręcząca, spływała dreszczami po jej plecach.

Czy tego wieczora zobaczy wreszcie Romana? Chyba by nie przeżyła, gdyby nie przyszedł. A jeśli przyjdzie? Nie potrafiła sobie wyobrazić tego spotkania. Po tym, jak ją porzucił... Po dwunastu latach milczenia...

Kiedy ostatni oficjalny gość się pożegnał, wróciła do garderoby. Marzyła o tym, by zdjęć kostium, wziąć prysznic i przebrać się w swoje własne ubranie – skromny, klasyczny komplet z mięciutkiej, szarej dzianiny. Ale nie mogła. Sekundy mijały, a ona siedziała nieruchomo, wsłuchując się w ciszę. Wielkie, podświetlone lustro odbijało jej szczupłą postać, drobną twarz, bladą pod scenicznym makijażem, szeroko otwarte oczy, pociemniałe z napięcia, i złociste pióra wciąż zdobiące jej głowę, które drżały lekko, w rytm gwałtownych uderzeń serca. Nie wiedziała, ile czasu siedziała tak, czekając – minutę, godzinę czy całą wieczność. Ale kiedy wybrzmiało pukanie do drzwi – trzy ciche, rytmiczne uderzenia – drgnęła, zaskoczona. Jakby nie dość długo jeszcze czekała...

- *Wchodit'* - wykrztusiła.

Słyszała, jak za jej plecami drzwi otwierają się i po chwili zamykają z cichym trzaskiem. Nie odwróciła się nawet wtedy. Nie była w stanie się poruszyć.

Ale przecież nie musiała go widzieć, by wiedzieć ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie on przekroczył próg. Jej ciało zareagowało instynktownie, jak zawsze, kiedy był w pobliżu.

Roman.

Poczuła gorące mrowienie na wydekoltowanych plecach, delikatne włoski na karku stanęły na baczność. W następnej chwili, wciąż wpatrzona w lustro nieruchomym wzrokiem, zobaczyła za sobą jego odbicie. Stał w cieniu, ubrany w czarny garnitur – równie mroczny, jako ona była świetlista, równie postawny, jak ona była drobna. Zadrżała, jak delikatny motyl w obliczu potęgi nadciągającej nawałnicy. Kiedy, w następnej chwili, odważyła się podnieść oczy, napotkała w lustrze jego ciemne spojrzenie i westchnęła bezwiednie.

Wrażenie było przeszywające. Ta twarz, kiedyś tak dobrze jej znana, dziś wydawała się obca. Chłopak o dzikich, ostrych rysach, którego kochała, zamienił się w mężczyznę, o którym nie wiedziała nic. Dojrzał, zmężniał. Kiedyś był po prostu głodny życia, dziś emanował siłą i pewnością siebie. Choć niejedna kobieta uznałaby go za brzydala, nieokrzesanego troglodytę, w jej oczach był piękny. Doskonały. Wpatrywała się w niego i zachwyty zapierał jej dech. Czowała wyraźnie, jak uśpione przez dwanaście lat pożądanie budzi się w niej niczym drapieżna, groźna bestia.

Roman. Zawsze go miała za mało. Miłość do niego kojarzyła jej się z głodem, bardziej dotkliwym niż ten fizyczny, który od dzieciństwa był dla niej codziennością. Mogła żyć, właściwie prawie nie jedząc, przyzwyczała się już dawno do ciągłego, bolesnego ssania w żołądku. Wiedziała, jak taki głód oszukać. Ale teraz, kiedy ukochanego mężczyznę miała na wyciągnięcie ręki, zrozumiała z przerażeniem, że gdy on znowu odejdzie, zostanie sama i bezradna. Głód miłości będzie ją powoli zabijał, dzień po dniu. A tego, że Roman odejdzie, była pewna.

I co z tego? – targnęła się jej buntownicza, rosyjska dusza. Ważne, że teraz był przy niej. Może po to właśnie została stwo-

rzona, by przeżyć choć tych kilka chwil w jego bliskości?

Zobaczyła w lustrze, jak Roman wyciąga rękę, i przymknęła oczy, gdy opuszki jego palców dotknęły jej ramienia, miękko, pieśczośliwie obrysowały krągłość barku i smukłą linię szyi.

Co miała zrobić? Powiedzieć mu, by wyniósł się do wszystkich diabłów? Nie mogła, nie chciała z nim walczyć. Ani ze sobą. Raz się żyje, pomyślała straceńczo, i odchyliła głowę w tył z cichym westchnieniem. Tak, pragnęła go. I nie zamierzała się tego wstydzic.

- *Krasawica* - zamknął jej ramiona w ciepłych objęciach swoich dużych, twardych dłoni, i pochylił się, by musnąć ustami wrażliwy płatek jej ucha.

- Roman - wyszeptała ochryple i pozwoliła, by jej usta ułożyły się w delikatnym, szczęśliwym uśmiechu.

Znów byli razem. I tylko to się liczyło.

Roman wtulił twarz we włosy Ani, odetchnął głęboko. Pachniała jak wiosenny, kwitnący sad, dokładnie tak, jak zapamiętał. Delikatne nuty jabłoni, słodkie dzikiej śliwy i rześkie młodej trawy spletały się w jedyną w swoim rodzaju, rozkoszną kompozycję. Czy to były perfumy, szampon czy mydło? A może jakaś inna, babska sztuczka, której nie pojmował? Było mu wszystko jedno. Wiedział tylko, że pachniała domem, którego nigdy nie miał.

Zaciągnął się tym zapachem mocno, chciwie. Czuł, że naprawdę oddycha. Po raz pierwszy od czternastu lat.

Kiedy wypowiedziała jego imię, uchwycił się brzmienia jej głosu jak liny ratunkowej. Ostatnio miał wrażenie, że grunt usuwa mu się spod nóg. Tonął i potrzebował ratunku. Potrzebował... Ani. Tej małej kobietki, ślicznej jak kwiatek i mocarnej jak tytan. Irytująco upartej i zaskakująco lojalnej. Potrzebował jej tak bardzo, że przyjechał do Londynu i odszukał ją, choć obiecał sobie, że nigdy tego nie zrobi.

Już dawno postanowił, że przejdzie przez życie sam. Wmówił sobie, że tak będzie najlepiej. Nie przewidział tylko, że mogą się przydarzyć rzeczy, przed którymi ta decyzja go nie obroni. Nikt nie był samotną wyspą, nawet on. Co go podkusiło, by po latach zacząć szukać swojego bliźniaka? Może tęsknota, która

była jak ćmiący, fantomowy ból? Nie wiedział. Dość, że zaczął drażnić. Najpierw w internecie, potem opłacając skromną, ale skuteczną agencję detektywistyczną. Kto pyta, ten dostaje odpowiedzi – powinien był to przewidzieć, a jednak w ogóle nie był gotów na to, co usłyszy.

Danil miał żonę i dziecko. Tak, jego własny brat założył rodzinę. Urodziła mu się córeczka. Ta nowina była dla Romana jak grom z jasnego nieba. Dlaczego poczuł się do tego stopnia wstrząśnięty? Sam nie wiedział. Nie mógł przecież oczekiwać, że Danil wybierze samotne życie, tak jak on. A jednak ciężko mu było znieść świadomość, że bliźniak ma wszystko to, czego on się wyrzekł. Maleńka dziewczynka, która niedawno przysłała na świat, była jego bratanicą. Nie prosił o to, a jednak jego rodzina się powiększyła. Kiedyś miał tylko Danila. Dziś wiedział, że urodziło się dziecko, w którego żyłach płynie krew Zwieriewów. Ta świadomość zmieniała wszystko. Wbrew sobie zaczynał marzyć o rzeczach, które dotąd dla niego nie istniały.

Przed laty obiecał sobie, że nigdy nie będzie szukał kontaktu z bratem. Ostatnio coraz trudniej mu było tej obietnicy dotrzymać. Nagle zaczął się czuć źle ze swoją samotnością. Tak źle, że gdy przeczytał o finałowym przedstawieniu *Ognistego ptaka* w londyńskim teatrze operowym, natychmiast wybrał się w podróż. Oczywiście, wmówił sobie, że jedzie tylko i wyłącznie w interesach. Od pewnego czasu inwestował w nieruchomości i chciał sprawdzić, czy posesja wystawiona na sprzedaż w bogatej dzielnicy Chelsea jest warta swojej ceny. Jak wiadomo, pańskie oko konia tuczy. Danil także mieszkał w Londynie, ale to był czysty przypadek, nic więcej...

Jak to się stało, że kupił bilet na przedstawienie petersburskiego baletu? Zadawał sobie to pytanie tego popołudnia w swoim pokoju hotelowym, wpatrując się nieufnie w mały, ozdobny kartonik, jak gdyby był to talizman o potężnej mocy, zdolny wywrócić jego życie do góry nogami. Powiedział sobie, że powinien natychmiast podrzeć go i wyrzucić.

Zamiast tego ubrał się elegancko i popędził do teatru.

Kiedy Ania pojawiła się na scenie, zachwyty ścisnęły go za gardło, mocno i bezlitośnie, jakby ktoś założył mu nelsona. Patrzył

i wiedział, że jest bez szans. Przed nią nie umiał się bronić.

Była zachwycająca. Każdy jej ruch był poezją – idealnie precyzyjny i zarazem pełen niepohamowanych emocji. Bez tchu, śle dził jej wirtuozerski popis i czuł, że rozpiera go duma. Ania... jego Ania... Pamiętał ją, gdy była drobniutką dziewczuszką, a potem chudym podlotkiem. Pamiętał, jak dzień w dzień zapamiętane ćwiczyła taneczne kroki w wielkiej kuchni sierocińca. Dzisiaj święciła tryumf. Jej największe marzenie się urzeczywistniło. Była primabaleriną, i to nie byle jaką. Kiedy publiczność zerwała się na równe nogi, żeby uczcić jej występ gromką owacją, on także wstał. Powiedział sobie, że powinien natychmiast wyjść, zabierając ze sobą wspomnienie jej jasnej postaci, tak lekkiej, że zdawała się wlatywać w powietrze, unoszona przez muzykę. Dziś widział wyraźniej niż kiedykolwiek, że dokonał właściwego wyboru, kiedy od niej odszedł. Gdyby został, stałby się dla niej kulą u nogi. Nie zdołałaby zająć tak wysoko. Był tego zupełnie pewien. Powinien zniknąć...

A jednak nie ruszył się z miejsca. Zamiast tego przyłączył się do głośnych wiwatów. I nagle zrozumiał, że Ania rozpoznała jego głos. To był niesamowity moment – primabalerina zamarła nagle, uniosła ku niemu twarz. Oczywiście, nie mogła go zobaczyć, stojącego w ciemnej loży. On jednak widział dokładnie emocje malujące się na jej twarzy. Kiedy zobaczył wśród nich radość, wiedział już, że nie zdoła odwrócić się i wyjść. Sięgnął do kieszeni i zacisnął palce na maleńkim złotym kolczyku, z którym nie rozstawał się od dwunastu lat. Po co te kłamstwa, skarcił się w duchu. Był tutaj tylko w jednym celu – żeby ją zobaczyć. Usłyszeć jej głos. Poczuć zapach jej skóry, pieśczętę jej ust... Och, wiedział, że postępuje nieracjonalnie, ale miał to gdzieś. Pragnął jej, potrzebował jej jak powietrza. Nic innego się nie liczyło. Kiedy czekał, aż primabalerina zaprosi go do swojej garderoby, zdawało mu się, że zabija go każda sekunda samotności.

- Co tu robisz, Roman? - spytała, wciąż wpatrzona w jego odbicie w lustrze. - Po co przyszedłeś?

Nie potrafił się zdobyć na szczerość. Wybrał użyteczną pół-

prawdę.

- Jak to, po co? Chciałem ci pogratulować sukcesu. Dotarłaś na sam szczyt, Iliuszyn. Zawsze wiedziałem, że dasz radę.

Dopiero kiedy zamilkł, dotarło do niego, że rozmawiają po rosyjsku. Swojego rodzimego języka nie używał od lat i powrót do niego był prawdziwą przyjemnością. Trochę jak łyk chłodnej, orzeźwiającej wody.

Zbyła jego uwagę milczeniem. W jej oczach nadal widział pytanie, a on nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Kwieciste wyznania nigdy nie były jego mocną stroną. Bez słowa więc sięgnął do kieszeni, wyjął złoty kolczyk ze skowronkiem i położył go na blacie toaletki.

Sięgnęła po ozdobę, zamknęła ją w dłoni i poczuła, jak przeszłość powraca - znów miała osiemnaście lat, a on niewiele więcej. Byli młodzi, naiwni i zuchwali, głodni życia i siebie nawzajem.

- Mówiłeś, że nie możesz go znaleźć - powiedziała z wyrzutem.

- Bo nie mogłem. Szukałem, szukałem, i nic. Dopiero kiedy się pakowałem... - nie dokończył. Nie chciał mówić o dniu, w którym wepchnął cały swój marny dobytek do niewielkiego plecaka i wyjechał bez pożegnania.

- Dlaczego nie przyszedłeś, żeby mi go oddać? Trzeba było wpaść, powiedzieć „żegnaj, luba, było miło” - rzuciła, siląc się na chłodny ton.

- Wiesz, dlaczego nie przyszedłem - wyrzucił z siebie, krzywiąc usta. - Musiałem wyjechać. A gdybym cię zobaczył, nie potrafiłbym... Nie byłem w stanie utrzymać rąk przy sobie, i ty też nie. Wylądowalibyśmy w łóżku.

Nie odezwała się. Cóż, z całą pewnością miał rację - wylądowaliby w łóżku, jak zawsze, kiedy mieli ku temu okazję. Ale to nie znaczyło, że potrafiła zrozumieć jego decyzję, by odejść bez słowa. A już na pewno nie umiała mu wybaczyć.

W niezręcznej ciszy odłożyła kolczyk na bok, a potem wstała z fotela i obróciła się ku niemu fascynująco płynnym ruchem. Roman złapał się na tym, że się zastanawia, jakby to było zabrać ją gdzieś na tańce. Nigdy jeszcze nie byli razem na tań-

cach. Gdyby tylko zdołał dotrzymać jej kroku na parkiecie, doświadczenie mogłoby się okazać co najmniej ciekawe. Może powinien spróbować...?

Uniósł brew i posłał jej zagadkowe spojrzenie. W odpowiedzi zmierzyła go hardym wzrokiem. Owszem, była drobniutka, niższa od niego niemal o głowę, ale na pewno nie słabsza. Przez chwilę przyglądali się sobie intensywnie – dwoje ludzi o ognistym temperamencie, dwoje zuchwalców, którzy wydali wojnę przeznaczeniu i wbrew wszystkiemu wywalczyli sobie miejsce na świecie. Dwoje kochanków, których wciąż łączyła tęsknota.

Roman! Po długich dwunastu latach Ania miała go znów przed sobą, na wyciągnięcie ręki. Rozpoznawała to samo co zawsze, przenikliwe spojrzenie i te same, zmysłowe usta o twardym wyrazie. A jednak... tak bardzo się zmienił. Chudy wyrostek stał się postawnym mężczyzną. Jego sylwetka, kiedyś niemal karykaturalnie kanciasta, teraz była mocna i harmonijna, a każda jej linia mówiła o sile mięśni, rozwiniętych w ciągu wielu lat niełatwego życia. Dawniej miał jedną parę wysłużonych, sznurowanych buciorów, które wkładał latem i zimą, przy każdej pogodzie, a tanie dżinsy z denimu i popelinowe koszule nosił tak długo, aż były w strzępach. Dziś jego strój świadczył o smaku i bogactwie. Czarny garnitur, antracytowa koszula i o ton jaśniejszy, popielaty krawat tworzyły wspaniałą oprawę dla jego dzikiej, nietuzinkowej urody. Upływ lat tylko mu posłużył. Jego rysy stwardniały, wyraz buntu ustąpił spokojnej, nieco beznamietnej pewności siebie. Włosy, które dawniej opadały mu na czoło spletaną grzywą, teraz były nienagannie ostrzyżone. Czy jej się zdawało, czy też naprawdę widziała w nich pierwsze siwe nitki?

Uniosła dłoń, wplotła palce w jego gęstą, jedwabistą czuprynę. Tak, nie myliła się – grube, ciemne pasma gdzieniegdzie lśniły srebrem. Poczowała w oczach piekące łzy. Chciało jej się płakać nad nimi dwojgiem, nad ich poplątanym życiem, nad miłością, która nie miała szans.

Zamknął w dłoni jej szczuplutki nadgarstek. Czułość, z jaką gładziła go po włosach... to było więcej, niż mógł znieść. Chciał

się odsunąć, ale kiedy zobaczył, że jej piękne, jasne oczy napętniają się łzami, porywczo uniósł jej dłoń do ust.

- Gdzie byłeś przez te wszystkie lata? - wyszeptała drżąco. - Co się z tobą działo?

Cofnął się o krok.

- To nie ma znaczenia - powiedział niechętnie.

- Dla mnie ma. - Ze smutkiem patrzyła, jak zamyka się przed nią. Oczy, w których przed chwilą widziała żar, teraz były zimne, niemal obojętne.

- Nie mogę długo zostać - dodał sztywno, spoglądając na zegarek.

A więc znów chciał uciekać. O, nie. Nie zamierzała mu tego ułatwić.

- Skoro już tu jesteś, powinieneś przynajmniej zaprosić mnie na kolację - oświadczyła z lekką pretensją. Ostatecznie była primabaleriną. Któż, jeśli nie ona, mógł sobie pozwolić na kaprysy?

- Słyszałem, że księżniczka Windsoru zaprosiła zespół na after-party.

- Owszem, ale może rozboleć mnie głowa. Primabalerinom zdarzają się niedyspozycje.

- Na twoim miejscu nie odmawiałbym księżniczce. - Uniósł kącik ust w ledwo dostrzegalnym uśmiechu. - My dwoje i restauracja... Z tego co pamiętam, to nie jest najlepszy pomysł.

Zaśmiała się cicho. Och, ona też pamiętała tamten walentynkowy wieczór przed laty. Roman wygrał zawody bokserskie i przyszedł po nią do szkoły, z siną śliwą pod okiem i zwitkiem pięćdziesięciorubłówek w kieszeni. Walentynki były w Rosji obyczajem stosunkowo nowym, ale Ani marzył się romantyczny wieczór, taki jak w filmach. On kupiłby jej kwiaty, a potem poszliby do kawiarenki na gorącą czekoladę... Roman jednak miał inny pomysł - postanowił zabrać Anię do prawdziwej restauracji. Po raz pierwszy w życiu stać go było na to, żeby zaprosić ją na kolację. Szybko się okazało, że to nie był najlepszy pomysł. Na Newskim Prospekcie nie chciano ich wpuścić do żadnej restauracji. Za każdym razem, kiedy stawali w progu, *maître d'hôtel* obrzucał czujnym spojrzeniem zgrzebny strój Romana

i jego zdefasonowane oblicze, a potem ich odprawiał. Cicho, dyskretnie i stanowczo. Kiedy wreszcie, w nieco podrzędniejszym lokalu w bocznej uliczce, obsługa okazała się mniej drobiazgową i pozwolono im usiąść przy stoliku, przekonali się, że dalej wcale nie jest z górki. Wyszukane nazwy potraw absolutnie nic Romanowi nie mówiły, a obco brzmiące nazwy win – jeszcze mniej. Ania miała ochotę uciekać. Tysiąc razy wolałaby teraz siedzieć w ciasnym, obskurnym pokoju Romana, po turecku na twardym sienniku, pić cienkie piwo i jeść razowca z wędzonym serem, jak to często robili, niż być świadkiem upokorzenia, które przeżywał jej chłopak. Ale on nie chciał nawet słyszeć o rejteradzie. Powinna była wiedzieć, że jest na to zbyt ambitny. Zamówił jakieś potrawy i wino, omal nie łamiąc sobie języka.

Kiedy przyniesiono talerze, przez chwilę wpatrywali się w nie z bardzo niemądrymi minami. Dziś Ania wiedziała, że podano im polędwiczki w szynce parmeńskiej z pieczonymi pomidorkami i czarnymi oliwkami, a jako dodatek karczochy w sosie winegret. Wtedy – pamiętała to dobrze – patrzyli okrągłymi oczami na dziwne paczuszki, czarne kulki i zielone „szyszki”, które im zaserwowano. Jedzenie, koniec końców, okazało się wyborne, ale Roman zupełnie stracił humor. Mimo to poszła do niego tego wieczora. Liczyła na... chwilę zapomnienia w jego ramionach. Następnego dnia miała przesłuchanie, od którego zależało, czy dostanie się do petersburskiego baletu, i choć była przygotowana tak solidnie, jak tylko to możliwe, zaczynała czuć dławiący stres. Może i Roman był dzikusem, ubogim prostakiem. Ale był też jej azylem. Kiedy czuła się obolała po długich godzinach ćwiczeń, jego namiętne pieścizny przynosiły jej ulgę. Kiedy się bała, że nie poradzi sobie z jakimś wyzwaniem, jego błyskotliwe, choć nieco cyniczne poczucie humoru sprawiało, że potrafiła na wszystko spojrzeć z dystansu. Kiedy się z nią kochał z młodzieńczą, ognistą gwałtownością, zapominała o całym świecie. Potem, gdy leżeli bez tchu, grzejąc się ciepłem swoich splecionych ciał, i rozmawiali nieśpiesznie, swobodnie i bez troski, jak ludzie, którzy znali się od lat i rozumieli bez słów, zaczynała snuć szalone wizje wspólnej przyszłości. Cichy ślub

w zabytkowej cerkiewce nad Newą... Maleńkie mieszkanie gdzieś na poddaszu, które wynajęliby, ciuając grosz do grosza... Byłoby im chłodno i głodno, ale tego się nie bała. Bo tak naprawdę, pławiliby się w bogactwie, jakim jest szczęśliwa, spełniona miłość. Razem podołaliby wszystkiemu. Razem pokazaliby światu, na co ich stać...

Roman zniknął następnego dnia po walentynkach. Wyjechał bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia.

- Porzuciłeś mnie. - Spuściła wzrok. Nie chciała, żeby widział ból w jej oczach.

- Musiałem odejść - powiedział z uporem. - Gdybym został, nie oklaskiwano by dzisiaj Anii Iliuszyn, wybitnej primabaleriny. Nie zaszłabyś tak daleko.

- Skąd ta pewność? Nie możesz wiedzieć, co by było.

- Ależ dobrze wiem, co by było. I ty też wiesz, że mam rację.

- Moglibyśmy wynająć mieszkancko...

- I co dalej? Nie było mnie stać na nic lepszego niż klitka w hotelu robotniczym. Bylibyśmy skazani na gnieźdzenie się w tej dziurze, to raz. A dwa, że nie mógłbym spokojnie patrzeć, jak się katujesz. Wiesz, że nie zmilczałbym, gdybyś...

Nie dokończył, ale oboje wiedzieli, co miał na myśli. Ich pierwszą i ostatnią kłótnię. Tę, która wybuchła w tamten pamiętny, walentynkowy wieczór. Godzina nie była późna, kiedy dotarli do izdebki Romana. Oczywiście poszli do łóżka, bo i co można było zrobić innego w pomieszczeniu, gdzie poza siennikiem, stołem i kulawym krzesłem nie było absolutnie niczego? Pozostawała namiętność, którą tak łatwo było rozbudzić, i wspólna wyprawa w świat zmysłów, na poszukiwanie rozkoszy... Oczywiście, było niezwykle. Może lepiej niż kiedykolwiek... Ale gdy Roman zapadł w sen, Ania ostrożnie wyplątała się z objęć kochanka. Dręczący niepokój powrócił, spłynął w dół jej pleców lodowatym, nieprzyjemnym dreszczem. Nazajutrz rano czekało ją ważne przesłuchanie; miała wykonać bardzo wymagający, taneczny układ... Co ją podkusiło, żeby tak się objąć na kolację? Czowała w żołądku przyjemny ciężar sytości. Wyrzuty sumienia przyszły nagle, dotkliwe, palące, jak smagnięcie batem. Paskudna łakomczucha. Jeśli następnego dnia będzie

ocięzała, tylko się ośmieszy.

Na szczęście, istniało wyjście z sytuacji. Jeszcze nie było za późno... Ostrożnie wyplątała się z objęć kochanka, na palcach przeszła przez korytarz do znajdującego się tuż obok ustępu, uklękła i wetknęła sobie palec do gardła. Sposób mało przyjemny, ale skuteczny, gdy człowiek chciał odpokutować za łakomstwo... I właśnie w chwili, gdy pozbywała się wyszukanej kolacji, na którą Roman wydał wszystko, co miał, on sam stanął w drzwiach wychodka.

Wstyd, który poczuła, był bardziej dotkliwy od najgwałtowniejszych torsji.

- Co ci jest? - Roman sięgnął do włącznika. W nieprzyjemnym świetle gołej żarówki, zwisającej na drucie z odrapanego sufitu, zobaczył wszystko wyraźnie, i niepokój w jego głosie ustąpił miejsca oburzeniu. - Jak możesz robić sobie coś takiego?! Jesteś chora czy po prostu zgłupiałaś?

Upokorzenie paliło jak ogień. Ania zerwała się na równe nogi, splotła ramiona obronnym gestem.

- Nie twoja sprawa - wysyczała. - Nie muszę się przed tobą tłumaczyć! Ale jeśli chcesz wiedzieć, jutro mam ważne przesłuchanie. Muszę wypaść bezbłędnie! Jak komisja uzna, że nie jestem dość skoczna, dość lekka, to będzie pozamiatane. Odrzucą mnie. Mają w kim wybierać, konkurencja jest ogromna. A dla mnie to jedyna szansa.

- Co ci po tej szansie, jeśli zmarnujesz sobie zdrowie? Długo nie nacieszysz się karierą - powiedział cicho. Zdawało jej się, że słyszy w jego głosie chłodną, bezlitosną kpinę. - Naprawdę nie musisz się słuchać mamusi, gdy ta każe ci robić sobie kuku.

Tego było już za wiele.

- Zabraniam ci mówić tak o mojej matce - wybuchnęła. - Mama zawsze o mnie dbała. Zawsze chciała dla mnie tego, co najlepsze. Ale co ty możesz o tym wiedzieć? Nie masz pojęcia, jak to jest mieć prawdziwą rodzinę...

Pożałowała tych słów, gdy tylko je wymówiła. Roman drgnął, jak gdyby wymierzyła mu policzek, ale już w następnej chwili pogardliwie wykrzywił usta.

- Powodzenia w karierze - rzucił, zmierzył ją lodowatym spoj-

rzeniem i wyszedł.

Tak wyglądała ich ostatnia rozmowa.

Roman nie mógł wiedzieć, jak bardzo Ania przejęła się jego słowami. Wtykanie palca do gardła skończyło się raz na zawsze – już nigdy nie wywoływała u siebie wymiotów, gdy uległa pokusie i zjadła zbyt dużo. Bo już nigdy nie pozwoliła sobie na to, żeby nie kontrolować apetytu. Jadła dokładnie to, co trzeba, i ani grama więcej, niż powinna. Żelazna dyscyplina, którą sobie narzuciła, obejmowała codzienne mordercze treningi sprawnościowe i wytrzymałościowe, a także wielogodzinne próby. Każdy jej dzień podporządkowany był tańcowi. Jadła na komendę, spała na komendę. I ćwiczyła, ćwiczyła, ćwiczyła. Dlatego, że kochała taniec... I dlatego, że Roman wyjechał bez słowa, a ona nie chciała mieć poczucia, że została opuszczona. Wolała... nie mieć czasu ani siły na rozpamiętywanie i żal nad straconą miłością.

Została primabaleriną. Ale drugiego celu nie osiągnęła. Myśl o Romanie towarzyszyła jej każdego dnia i każdej nocy, tak samo jak ból spracowanych mięśni, przeciążonych stawów i zmaltretowanych stóp.

- Gdzie się podziewałeś przez te wszystkie lata? - spytała, pewna, że ich myśli podążały tym samym tropem.

- Tu i ówdzie - wzruszył ramionami. - Trochę we Francji, trochę na Korsyce. Potem w Afryce i na Bliskim Wschodzie...

- To znaczy, że zaciągnąłeś się do Legii Cudzoziemskiej - wyszeptała, bardziej do siebie niż do niego.

- Owszem. - W jego zmrużonych oczach błysnęło zdumienie, ale nie zapytał, skąd wiedziała.

I dobrze. Nie chciała mu tłumaczyć, że gdy zniknął, spędziła niezliczoną ilość czarnych, bezsennych godzin przypominając sobie w szczegółach wszystkie rozmowy, jakie przeprowadzili. Jak rasowy detektyw analizowała każde słowo, które do niej powiedział, w nadziei, że zrozumie wreszcie, co się z nim stało. Nie doszła do żadnych konkretnych wniosków, ale przyszło jej do głowy, że mógł wyjechać do Francji i zaciągnąć się do Legii

Cudzoziemskiej. Mijał czas, a ona – sama nie wiedziała dlaczego – miała coraz silniejsze przeczucie, że tak właśnie postąpił. I przerażało ją to.

Z tego, co wiedziała, legioniści zostawiali za sobą całą przeszłość. Dotychczasowa historia ich życia po prostu przestawała istnieć, wymazana co do najmniejszego szczegółu. Wraz z mundurem Legii otrzymywali nową tożsamość – paszport, a nawet akt urodzenia wystawiony na nowe nazwisko. Musieli pożegnać się ze wszystkim, co dotąd było im bliskie – ze swoim językiem, ze swoją ojczyzną, z przyjaciółmi...

A to znaczyło, że gdyby jej ukochany żołnierz Legii Cudzoziemskiej zginął na służbie, ona nigdy by się o tym nie dowiedziała.

- Potrzebowałem tego – powiedział sztywno. - Chciałem zacząć moje życie od nowa, a Legia dawała mi taką szansę.

- Jesteś na przepustce? – przekrzywiła głowę. - Kiedy wracasz w kamasze?

- Nie wracam – wyznał niechętnie. - Odszedłem z Legii parę lat temu.

Och, miała tego świadomość, choć doprawdy wolałaby niczego nie wiedzieć...

- Po co tu przyszedłeś, Roman? – spytała raz jeszcze.

Oczy miała zmęczone mocnym makijażem, ciasny kostium i sztywna spódniczka zaczynały jej naprawdę przeszkadzać, a stopy, wciąż uwięzione w pointach, pulsowały tęnym bólem.

Spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi. Ania. Jego Ania... Nawet w jaskrawym, scenicznym makijażu, który widziany z tak bliska wydawał się nieco groteskowy, była najpiękniejszą kobietą, jaką ziemia nosiła. Cudownie filigranowa i niewiarygodnie silna, miała figurę, jakiej nie powstydziliby się leśna driada, przepastne oczy o melancholijnym spojrzeniu, i miękkie, wrażliwe usta, które tak ładnie się uśmiechały – a potrafiła się uśmiechać w najmniej spodziewanych momentach.

Był tutaj, bo nie potrafił dotrzymać obietnicy, jaką sobie złożył, i raz na zawsze zniknąć z jej życia. Ale tego nie mógł jej powiedzieć.

- Chciałem zobaczyć na własne oczy, jak sobie radzisz, Iliu-

szyn - rzucił lekkim tonem. - I jestem naprawdę pod wrażeniem. Jeszcze raz, przyjmij moje szczerze gratulacje...

- Przyjmuję - ucięła. - I co teraz? Pożegnasz się i znikniesz?

- Owszem, taki mam zamiar. - Odwrócił wzrok.

Nie chciał komplikować jej życia. Sama, dzięki tytanicznej pracy, osiągnęła niemal wszystko, co było do osiągnięcia w świecie baletu. Spełniła swoje największe marzenie. A on, cóż, nie miał jej niczego do zaoferowania. Wniósłby w jej pokładany świat tylko chaos, ból i rozczarowanie. Zawsze tak było.

- Świetnie. Więc idź już, nie zatrzymuję cię. - Splotła ramiona na piersi i uniosła podbródek ruchem tak wyniosłym i pełnym gracji, jak gdyby była na scenie.

- W porządku - wycedził, ale nie ruszył się z miejsca.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ich spojrzenia odnalazły się, zderzyły, wywołując bezgłośnie eksplozję doznań. Och, potrafili rozmawiać bez słów – mieli za sobą lata treningu. Lata spędzone w *Dietskim Domu*, kiedy nie wolno im było się do siebie odezwać, więc odkrywali, dzień po dniu, jak wiele można powiedzieć samymi oczami.

Słowa były zbyt powierzchowne, zbyt ulotne, zbyt chaotyczne. Właściwie trudno się było nie pogubić w ich zwodniczym gąszczu.

Były zupełnie zbędne, kiedy chodziło o to, co najważniejsze.

Tęskniłeś za mną? – pytały jej poważne, szarozielone oczy.

Tak – odpowiedział żarliwym spojrzeniem. Jego tęczęwki miały intensywny kolor burzowej chmury. Kiedy pociemniały, rozumiała, że nawałnica nadciąga nieubłaganie. Przeszył ją dreszcz, nagły, gwałtowny, jak uderzenie błyskawicy.

Jego wzrok powędrował ku jej ustom, a potem niżej, tam, gdzie głębokie wycięcie dekoltu ukazywało delikatną skórę pomiędzy drobnymi, stromymi piersiami. Choć pieścił ją wyłącznie spojrzeniem, czuła się tak, jakby jej dotykał, budząc zmysły z uśpienia, które trwało o wiele za długo. Namiętność spotężniała, ogarnęła ją niczym podmuch wichru zwiastujący nadejście nawałnicy. Nie było już ucieczki. A nawet jeśli... to Ania nie chciała się kryć.

Zawsze kochała gwałtowne, dzikie piękno burzy.

Zrobiła krok w jego stronę, uciszając swoje niespokojne myśli. Umilkł głos rozsądku, umilkł nawet głos sumienia. W jej świecie nie było teraz miejsca na nic, oprócz niego. Jego bliskość napawała ją zachwytem i lękiem, jaki czuje się wobec potęgi żywiołu. Uniosła ramiona i drżącymi palcami obrysowała kontur jego twarzy, jakby musiała go dotknąć, żeby do końca uwierzyć...

– Pocałuję cię. – Zamknął jej wążutką talię w uścisku swoich

dużych, mocnych dłoni.

Nie spytał, czy może to zrobić. Nie musiał. Już wyczytał odpowiedź w jej oczach.

Chciała zarzucić mu ręce na szyję, ale nie zdążyła, bo w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

- Panno Iliuszyn? - zawołała garderobiana. - Mogę wejść?

- Dziękuję - Ania wciąż patrzyła na Romana - ale dziś nie będzie mi potrzebna pani pomoc przy zdejmowaniu kostiumu. Proszę iść już do domu.

- Jak pani sobie życzy - w głosie garderobianej pobrzmiwało zaskoczenie.

Niełatwo było samodzielnie pozbyć się dopasowanego gorse-tu. Ania jednak nie przejmowała się tym ani trochę, bo nie miała zamiaru rozbierać się sama. Błysk w oczach Romana świadczył jednoznacznie, że pomoże jej z największą chęcią.

Tylko dziś - powiedziały jej oczy. - Tylko ten jeden raz.

Skinął głową, krótko, zdecydowanie. A potem podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku. Nie spuszczała z niego wzroku. Był tak piękny, tak bardzo męski, że niemalże groźny. Elegancki strój nie łagodził, lecz wręcz podkreślał mocne linie jego sylwetki. Wiedziała, że ten mężczyzna weźmie ją, że zrobi to zaraz, tutaj. Ta myśl spłynęła po jej plecach rozkosznym dreszczem i Ania poczuła, że jej ciało zaczyna pulsować gorącą tęsknotą.

Kiedy stanął przed nią, nogi miała zupełnie miękkie. Marzyła o tym, by wziął ją w ramiona, on jednak delikatnie, lecz stanowczo posadził ją na fotelu.

- Zaczekaj - wymruczał i sięgnął po chusteczkę do demakijażu.

Uprzedziła go. Tak, chciała mu pokazać swoją prawdziwą twarz. Chciała zrobić to sama. Starannie zmyła ciemną szminkę - jej usta straciły nienaturalny, przesadnie wyzywający kształt, teraz były nagie, delikatne, spragnione pocałunków. Z ulgą pozbyła się grubej warstwy cieni do powiek i, bezwiednie przygryzając koniuszek języka, odkleiła sztuczne rzęsy. Jeszcze tylko zmyła biały puder z policzków i spojrzała na niego, świadoma, że nie chroni jej już sceniczna charakterystyka.

Roman wpatrywał się w Anię z zachwytem. Jeśli zmieniała się przez ostatnie kilkanaście lat, to tylko na korzyść. Cerę miała porcelanową, a rumieńce na jej policzkach kojarzyły mu się z kolorem delikatnych płatków róży. Oczy, wolne już od przytłaczającego makijażu, wydawały się jeszcze większe, i pomyślał, że mają barwę lasu w deszczowy dzień. Nos miała wąski i odrobinę za długi, a mocno zaznaczone brwi podkreślały gładkość jej wysokiego czoła. Może i nie była klasyczną piękną, ale na pewno była jedyną kobietą, która potrafiła go całkowicie rozbroić.

- Ania - powiedział bez tchu, a ona pofrunęła ku niemu, wspięła się na czubki palców, oplótła ramionami jego kark... Kiedy dotknął wargami jej warg, z cichym jękiem zamknęła oczy.

Przed laty był niecierpliwym, porywczym kochankiem. Teraz... nie śpieszył się. Nie było gwałtownego pocałunku, którego oczekiwała. Po prostu przykrył jej usta swoimi i trwał tak, pozwalając, żeby połączyło ich wspólne ciepło. Ania poczuła, że kręci jej się w głowie. Delikatna pieśczoła była tak zmysłowa, że aż trudna do zniesienia. Usta Romana były gorące, twarde i zarazem jedwabiste w dotyku. Wtuliła się w niego mocniej, chłonąc zapach tego mężczyzny, kiedyś tak dobrze znany, dziś ekscytująco tajemniczy. Wyczuwała woń luksusowej wody kolońskiej o ciepłym, drzewno-przyprawowym bukcie z ledwo zauważalną, cierpką nutą tytoniu... Och, ona nie miała tyle cierpliwości co on. Pragnienie potężniało w niej, powoli przemieniało się w szaleństwo. Przyłgnęła do niego, rozchyliła usta, musnęła czubkiem języka jego górną wargę.

Pieśczoła jej języka była jak iskra, która sprawiła, że w jednej chwili zapłonął niczym żagiew. Sztywny materiał spódniczki tutaj zgniótł się w zderzeniu z twardymi, męskimi udami, kiedy przyciągnął ją do siebie, mocno, niemal brutalnie. Tak jak chciała. Teraz on przejął inicjatywę. Pocałunek był zdecydowany, głęboki... doskonały. Roman, którego znała, całował porywczco, bardziej niecierpliwie niż czule. Ten, który wrócił po czterech latach, by znów wziąć ją w ramiona, wydawał się kochankiem idealnym, i Ani przemknęło przez myśl, że wcale nie wie,

czy cieszyć się z tego, że nabrał doświadczenia, skoro zawdzięczał je innej kobiecie.

A potem zapomniała o wszystkim, bo dłonie Romana przesunęły się niżej i objęły jej pośladki. Dotyk jego palców niósł tak intensywną przyjemność, że jęknęła, czując, jak jej kobiecość zaczyna pulsować gorącem. Chwyciła go za ramiona, wybiła się i oplotła jego biodra nogami. Och, był gotów, więcej niż gotów. Choć dzieliły ich warstwy ubrania, wyczuwała bardzo dokładnie okazały, ekscytujący kształt jego męskości. W następnej chwili jej ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy, tak intensywny i tak niespodziewany, że nie udało jej się stłumić cichego okrzyku. Poczuła, że Roman śmieje się bezgłośnie, z ustami wciąż przy jej ustach. Trzymał ją w bezpiecznym schronieniu swoich objęć, aż ucichł ostatni, targający nią spazm, a potem posadził na blacie toaletki. Przyjęła to z ulgą – nogi miała miękkie, jakby były z wosku. Dziwnie zażenowana tym, co się chwilę wcześniej wydarzyło, spuściła wzrok. Obawiała się spojrzeć mu w oczy, nie chciała słuchać komentarzy. Owszem, była roznamietniona jak kotka w marcu. Tak, wystarczyło, że przytuliła się do niego, by przeżyć niespodziewany i naprawdę potężny orgazm. Ale jeśli zamierzał się z niej śmiać, wyrzuci go za drzwi!

On jednak nie odezwał się ani słowem. Patrzyła zdumiona, jak klęka przed nią na podłodze, westchnęła, gdy sięgnął do ciasno zawiązanych, jedwabnych wstążek jej point. Chwilę później uwolnił jej stopy i zaklął szpetnie. Wypuścił pointy z rąk, uderzyły o podłogę z głośnym stukotem, ale on nie zwrócił na to uwagi. Wciąż klęczał, wpatrzony w stopy Ani. Bandaże, które miały chronić jej palce, były czerwone od krwi.

- Daj spokój, to drobiazg. Normalna rzecz. - Chciała podciągnąć kolana pod brodę, ale wciąż trzymał jej stopy w swoich dużych, ciepłych dłoniach.

Kiedy zaczął powoli masować obolałe podbicia i zmordowane wysiłkiem mięśnie łydek, zaszlochała. Była przyzwyczajona do krwawych obtarć, do bólu, który dla kogoś innego mógłby się wydawać nie do wytrzymania. Ale trudno było jej znieść czuły dotyk Romana i ulgę, jaką przynosił. Jego palce, cudownie sprawne i nieskończenie cierpliwe, rozmasowywały, milimetr po

milimetrze, stwardniałe od wysiłku mięśnie jej nóg. Odetchnęła głęboko, chłonąc niezwykle doznanie, jakim była odzyskana bliskość ukochanego mężczyzny i niespodziewana, czuła troska, którą ją otoczył. Kiedy zaczął masować mięśnie jej ud, ulga nagle zamieniła się w gorączkę, i Ania nie wiedziała już, czy chce, by ta chwila trwała wiecznie, czy raczej błaga go w myślach, by nie dręczył jej już, tylko rozebrał i po prostu wziął, tutaj, teraz, natychmiast...

- Roman - wyszeptała, wplatając palce w jego włosy.

Zrozumiał. Wciąż klęcząc, jakby adorował boginię, przesunął dłonie wyżej i odnalazł palcami gumkę jej rajstop. Kiedy zaczął zsuwać je w dół, uniosła biodra. Dopiero po chwili zorientowała się, że rozbiera ją do naga, i potężny dreszcz podniecenia sprawił, że poczuła się niemal nieważka.

Opuszki jego palców mrowiły od żądz i musiał się odwołać do całej siły woli, jaką był w stanie zmobilizować, żeby opanować drżenie rąk. Nie chciał się śpieszyć. Nie teraz, kiedy los sprawił, że mógł odnaleźć - choćby na chwilę - szczęście, które przed laty utracił. Powoli zsunął rajstopy z jej gładkich nóg, smukłych i umięśnionych. Ostrożnie odwinął bandaż z jej stóp i ucałował z nabożeństwem każdy palec. Dopiero potem pozwolił sobie na to, żeby spojrzeć w górę. Była naga i bezbronna wobec jego spojrzenia, choć przecież ciągle miała na sobie tchnący przepychem kostium Ognistego ptaka. Szttywna spódniczka tutaj obejmowała barwną ażurową ramą jej biodra, bogato zdobiony gorset lśnił wszystkimi kolorami płomienia, a fryzurę wciąż zdobił okazały stroik ze złocistych piór... Ten kontrast sprawił, że jej nagość wydawała się jeszcze bardziej olśniewająca.

Ania nie powiedziała ani słowa, tylko rozsunęła nogi, wyrywając go z kontemplacji. Posłuszny jej niememu poleceniu, pochylił głowę...

Gdy wniknął językiem w jej miękkie wnętrze, krzyknęła, wczepiając się jeszcze mocniej w jego włosy. Objął mocno jej biodra i nie przestawał pieścić, dopóki nie targnęła się w jego uścisku, dopóki z jej rozchylonych ust nie wyrwał się jęk rozkoszy...

- Ania - wychrypiał, zrywając się na nogi.

Nie, dłużej czekać już nie mógł. Odnalazł zapięcie jej kostiumu i gdy uniosła ramiona, uwolnił ją z niego. Gorset upadł na podłogę, spódniczka tutu i złocista ozdoba z piór chwilę później podzieliły jego los.

- Tylko mi nie mów, że jestem za chuda...! - wyrzuciła z siebie, kiedy cofnął się o krok, żeby objąć ją rozognionym spojrzeniem.

- Ciii... - Położył sobie palec na ustach. Nie zamierzał wracać do dawnej kłótni. Nie teraz, kiedy musiałyby przyznać, że drakański reżim, jaki sobie narzuciła, doprowadził ją dokładnie tam, gdzie chciała dotrzeć. Zresztą, wszelka dyskusja była wykluczona, bo Ania, naga jak ją Pan Bóg stworzył, właśnie przypuściła na niego frontalny atak.

Oparła dłonie o jego pierś i pchnęła z siłą, której się nie spodziewał u drobniutkiej kobietki, niższej od niego o głowę. Nie pozostawało mu nic innego, jak się poddać. Opadł ciężko na fotel, który na szczęście stał dokładnie za jego plecami. Ania tylko na to czekała. W następnej chwili dosiadała go okrakiem, a jej niecierpliwe palce zmagaly się z guzikami koszuli.

Jej życzenie było dla niego rozkazem... i zamierzał spełnić ten rozkaz z przykładową gorliwością. Jednym szarpnięciem pozbył się marynarki, pozwolił, żeby do końca rozpięta mu koszulę, obnażając pierś. Zmusił się do tego, żeby siedzieć nieruchomo, kiedy jej rozedrgane, niecierpliwe palce błąkały się po jego ciele, obrysowując potężną linię ramion, muskając i głaszcząc twardą muskulaturę jego torsu i brzucha.

Uniosła się nad nim, naga, lekka i cudownie zwinna. Chciała sięgnąć do klamry jego paska, ale był szybszy. Przyciągnął ją do siebie i objął wargami koniuszek jej piersi, odnalazł językiem twardniejący sutek. Potem, żeby było sprawiedliwie, obdarzył podobną pieśczętą drugą pierś. Tak, jak przypuszczał, zagubiła się w doznaniach, co pozwoliło mu odzyskać inicjatywę. Tylko na moment. Ledwo zdążył rozpiąć pasek, a już jej dłoń, niczym ciekawskie, wszędobylskie zwierzątko, wśliznęła się pod ubranie, odnalazła twarde członek. Mrucząc jak kotka, gładziła jego jedwabistą skórę, powoli uwalniając go z odzieży, jakby odpako-

wywała wymarzony prezent. Kiedy tego dokonała, pochyliła się i pocałowała wrażliwy koniuszek. A potem pochyliła się jeszcze niżej, pozwalając, by wniknął głęboko w jej usta. Pieściła go wargami i językiem, upojona mocnym, wspaniale zmysłowym smakiem mężczyzny.

Roman jęknął głucho i opadł na oparcie fotela. Czuł się jak ktoś, kto trafił w oko cyklonu. Doznania były tak intensywne, że bał się – chyba po raz pierwszy od czasów, gdy był niedoświadczonym młokosem – że całkowicie straci kontrolę nad sytuacją. Zaciśnął zęby i skupił się na równym, głębokim oddechu. To, co robiła mu Ania, było jak wymyślna tortura. Wiedział, że musi to przerwać, przejąć inicjatywę, lecz z drugiej strony... marzył przecież, by tak właśnie spędzić wieczność, zalewany falami rozkoszy, które wzbudzała swoimi zmysłowymi wargami i figlarnym językiem. Przemknęło mu przez myśl, że igraszki z primabaleriną to było coś, czego pozazdrościłby mu każdy mężczyzna. Oto siedziała mu na kolanach i bez trudu zginała się tak, by móc pieścić jego męskość. Widział jej ciemne włosy, wciąż upięte w kok, delikatny kark i drobne, ale krągłe ramiona, a dalej białe plecy w skłonie, przedzielone prościutką, wypukłą linią kręgosłupa. Poczuł, że tonie, lecz zanim ostatecznie przepadł, zdołał uchwycić się rzeczywistości. Zanurzył palce w jej włosach i zaczął uwalniać kolejne pasma, w skupieniu zdejmując, jedna po drugiej, wszystkie trzymające je wsuwki i klamerki... A kiedy wreszcie opadły gęstymi, połyskliwymi falami na jego nagi tors, zrozumiał, że nie może czekać ani chwili dłużej. Objął ją w talii, uniósł, odrywając od siebie niemal siłą, i posadził na blacie toaletki. Czuł w lędźwiach potężniejącą nawałnicę i miał nadzieję, że mebel jest na tyle solidny, by ją przetrzymać.

Kiedy Ania rozsunała nogi i wygięła się, naga, zuchwała i zapraszająca, pozwolił, by poniosł go żywioł. Wtargnął w nią z siłą, która sprawiła, że jej uniesienie na moment zabarwiło się bólem. Ale potem była już tylko ekstaza, która zdawała się zbyt potężna, by jej ciało mogło ją pomieścić. Krew w jej żyłach zaszumiała, zamieniła się w płomień. Ania zaciśnęła palce na krawędzi chłodnego, marmurowego blatu, uniosła nogi i oplotła nimi biodra Romana, a na jej usta wypłynął bezwiedny, triumfal-

ny uśmiech. Nareszcie. Nareszcie byli razem, tak blisko, jak tylko to możliwe... Spojrzała w lustro za jego plecami, a on w tej samej chwili popatrzył w to, które miał przed sobą. Ich spojrzenia spotkały się, zwielokrotnione przez nieskończoność. Istnieli tylko oni dwoje i łącząca ich siła, tak wielka, że zdolna wypełnić nieskończoność, nasycić ją sensem i treścią. Lustra odpowiadały sobie, przekazując wizerunek dwojga ludzi, splecionych namiętnością, oddanych sobie bez reszty, ciałem i duszą.

Czy ten obraz był tylko iluzją? Czy był zwyczajnym kłamstwem, czy też może pokazywał prawdę, która jakimś cudem przetrwała, choć przed laty została przekreślona, skazana na niebyt?

- Nienawidzę cię za to, że mnie porzuciłeś - wyszlochała Ania bezgłośnie, kryjąc twarz w ciepłym wgłębieniu ramienia ukochanego.

Nie odpowiedział, pewnie w ogóle jej nie usłyszał. Objął ją tylko mocniej, wniknął głębiej. I jeszcze raz, i jeszcze... Już nie był cierpliwym, wyrafinowanym kochankiem. Teraz brał ją z pierwotną gwałtownością, gorączkowo, zachłannie. Oplotła go ciasnym uściskiem nóg i ramion i trzymała z całej siły, chłonąc każde jego pchnięcie, trawiając go gorączkę, i jego szczerość. Tak, wiedziała, że w tej chwili, gdy zatracił się w niej, ofiarowywał jej nie tylko rozkosz, ale też całkowitą szczerość. Jakby spowiadał się jej z ostatnich czternastu lat. Czy mogła nie dać mu rozgrzeszenia?

Po chwili straciła wątek, myśli ucichły jak ptaki przed nadciągającą burzą i istniał już tylko on i doznania, jakie wzbudzał, poruszając się w niej, pobudzając ją rytmicznymi, mocnymi pchnięciami. Napięcie potężniało w niej, aż wreszcie wyzwoliło się ostatecznie spod kontroli, w eksplozji, która odebrała jej oddech. Ania bezgłośnie otworzyła usta, jej ciało zadygotało w serii spazmów, jak gdyby była marionetką poruszaną przez potężną, niewidzialną dłoń. Upojona rozkoszą, ledwo słyszała, jak Roman wypowiada jej imię, jak z chrapliwym jękiem poddaje się tej samej ekstazie. Mocno przyciskała go do siebie, gdy drżał, wypełniając jej wnętrze gorącą esencją życia.

- Roman, czy ty kiedykolwiek mnie kochałeś? - wyszeptała,

gdy ukrył twarz pomiędzy jej piersiami. Nie doczekała się odpowiedzi i nawet jej to nie zdziwiło. Nic nowego pod słońcem... Roman nigdy nie wyznał jej miłości. Dlaczego miałby to zrobić teraz? Nie widzieli się od lat, każde z nich miało swoje życie. Spotkali się i lekkomyślnie pozwolili, by odżyły dawne emocje. Ot i wszystko.

Teraz uniesienie minęło, został żal. Ania odsunęła się, podciągnęła kolana pod brodę. Patrzyła w milczeniu, jak Roman opada na fotel z uśmiechem sytego, zadowolonego samca i czuła, że rodzi się w niej bunt.

- Nie zapomnij pozdrowić ode mnie żony - rzuciła zaczepnie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Żona. Wystarczyło, że wypowiedziała to słowo, a jej usta wypełnił gorzki, paskudny smak poczucia winy.

Jak mogła...? Powinna była od razu mu powiedzieć, że wie, że jest żonaty. Powinna była kazać mu trzymać łapy przy sobie. Zamiast tego, niczym ostatnia żebraczka, skwapliwie przyjęła ochłap, który jej rzucił. Niestety, gdy chodziło o Romana, nigdy nie umiała kierować się rozsądkiem. A dokładniej mówiąc, na jego widok po prostu głupiała. Teraz będzie musiała za tę głupotę zapłacić. Wyrzuty sumienia już wbijały w jej duszę swoje ostre, ociekające jadem kły.

- Skąd wiesz...? - Roman, jeszcze przed chwilą rozleniwiony, wstał gwałtownie i szybkimi ruchami zaczął poprawiać ubranie.

- Skąd wiem, że jesteś żonaty? - Objęła kolana ramionami, mocno zacisnęła splecione palce. Wspomnienie, które musiała teraz przywołać, bolało jak rana od noża wbitego w serce. - Widziałam was - jej głos zadrżał lekko. - Dwa lata temu, w Paryżu. Siedzieliście z nią w ogródku kawiarnianym przy Place Vendôme, popijaliście wino... Uniosłeś jej dłoń do ust i wtedy zobaczyłam, że na waszych serdecznych palcach lśnią identyczne, ślubne obrączki. Oczywiście, byłeś zbyt zajęty całowaniem swojej żony, żeby dostrzec mnie w tłumie przechodniów.

Nie odezwał się ani słowem, nawet na nią nie spojrział. Sprawiał wrażenie pochłoniętego bez reszty zapinaniem koszuli.

Ona też milczała, zapatrzona w przeszłość. Tamtego popołudnia przed dwoma laty wyszła z teatru, przyjemnie zmęczona po próbie i pełna rozkosznej, szalonej nadziei. Szło jej tak dobrze, że została obsadzona w roli Wróżki Bzu. Jeszcze tego samego wieczora miała się pojawić na scenie jako jedna z głównych postaci. To był milowy krok w jej karierze, i nie mogła się doczekać chwili, gdy pokaże światu, na co ją stać.

Spacer uroczymi, wąskimi uliczkami starego Paryża miał być

jej małą, prywatną celebracją sukcesu. Ubrana w ołówkową spódnicę do kolan z popielatej, delikatnej dzianiny, czarny kardigan i czółenka w tym samym kolorze, wypuściła się w miasto. Chciała pogapić się na witryny luksusowych sklepów – kto wie, może będzie ją stać na któryś z tych fatałaszków, gdy dostanie podwyżkę, która należała się solistce...? – chciała usiąść przy jakimś filigranowym, kawiarnianym stoliku i może nawet zaszaleć, zamawiając *crème brûlée*? Czowała się... niemal szczęśliwa. Jakby szła na randkę z całym, szerokim światem.

Na Place Vendôme jej wzrok przyciągnęły wystawy sklepów jubilerskich. Nie byłaby kobietą, gdyby nie podeszła bliżej, skuszona blaskiem brylantów, jasnego złota i świetlistych pereł. Mijała właśnie ogródek kawiarniany, gdy kątem oka dostrzegła znajomą męską sylwetkę. Choć nie pojmowała jeszcze, kogo widzi, gorący dreszcz ekscytacji sprawił, że zmyliła krok. A kiedy ułamek sekundy później rozpoznała go, stanęła jak wryta.

Roman?

Roman Zwieriew? Czy ten elegancki mężczyzna, siedzący w swobodnej pozie przy kawiarnianym stoliku, z kieliszkiem czerwonego wina w dłoni, to mógł być on? Dziki, nieokrzesany chłopak z petersburskiego sierocińca? Przez chwilę usiłowała sobie wmówić, że to niemożliwe. A potem, kiedy wreszcie uwierzyła, że naprawdę ma go przed oczami, całego i zdrowego, roześmiała się na głos ze szczęścia i ruszyła w jego stronę, gotowa rzucić mu się na szyję... dotarło do niej, że Roman nie jest sam. Naprzeciwko niego siedziała kobieta. Ubrana była z gustem, w minimalistycznym, ponadczasowym stylu, na jaki stać jedynie najbogatszych. Nienagannie ułożona fryzura i staranny makijaż całkiem udatnie maskowały fakt, że dama nie była już pierwszej młodości. Ale przed wzrokiem Ani nic nie zdołało się ukryć. Nieruchoma pośród płynącej nieustannie rzeki przechodniów, patrzyła, i każdy szczegół zapadał jej w pamięć, wyraźny, bolesny, jakby wryty nożem w jej sercu. Zmarszczki w kąciakach umalowanych oczu nieznajomej, bruzdy wokół jej uszminowanych ust. Błysk złotych bransolet na przegubie dłoni, gdy zalotnym gestem odgarniała włosy. I błysk złotej obrączki na jej palcu. Czyżby Roman romansował ze starszą od siebie, znudzo-

ną mężatką? W następnej chwili kobieta powiedziała coś do niego, cicho, poważnie, pochylając głowę. Ania widziała wyraźnie, jak Roman zaciska usta, odstawia kieliszek na blat stolika, a potem ujmuje jej rękę i unosi ją do ust, mówiąc coś szybko i zdecydowanie. Kobieta zamrugła, wyraźnie poruszona, on zaś ucałował jej dłoń. I wtedy właśnie Ania dostrzegła błysk bliźniaczych, ślubnych obrączek na ich złączonych dłoniach. Zobaczyła jeszcze, jak Roman pochyła się ku żonie i czule całuje w usta, a potem łzy przesłoniły jej wzrok. Miała wrażenie, że jej serce drętwieje, a potem umiera. Odwróciła się i ruszyła przed siebie niemal na oślep, czując, że niesie w piersi martwy, zimny ciężar.

Jak ona tęskniła za tym mężczyzną! Choć ją porzucił, choć zniknął bez słowa, nie opuszczało jej przekonanie, że są sobie przeznaczeni. Przez długie lata marzyła o tym, że pewnego pięknego dnia się spotkają i padną sobie w ramiona. Czekwała na ten dzień. Drżała o życie ukochanego, a w chwilach, kiedy nadzieja słabła, opłakiwała go. Może był ranny, może umierał, a jej przy nim nie było, nie mogła nawet trzymać go za rękę... Może już nie żył, a ona nigdy się nie dowie, gdzie go pochowano... Tymczasem Roman był cały, zdrowy i, jak mogła zobaczyć, miał się świetnie. A ją ze swojego życia po prostu wykreślił. Wolał się ożenić z jakąś starą, bogatą babą...

Nie wiedziała, jakim cudem udało jej się dotrzeć z powrotem do teatru i przebrnąć przez przygotowania. Po raz pierwszy w życiu poważnie się obawiała, że nie da rady wyjść na scenę. A jednak... wyszła. I zatańczyła lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Powierzyła się muzyce, uchwyciła się jej, jak człowiek zrozpaczony chwytą się ramienia przyjaciela. Dając upust kłębiącym się w jej duszy emocjom, przekuła rozpacz i gniew w tańiec. Widzowie byli zgodni co do tego, że nigdy jeszcze nie widzieli równie przejmującego występu, a wszystkie branżowe magazyny rozpisywały się o wschodzącej gwiazdzie tańca, Ani Iliuszyn.

Począwszy od tego dnia jej nazwisko zaczęło się liczyć w świecie baletu. Ale jej serce, odrętwiałe z bólu, pograżyło się w głębokiej żałobie. A dziś stara rana znów zaczęła się jątrzyć.

- Nie powiesz mi, co u niej słyhać? - Przekrzywiła głowę,

zmuszając się do uśmiechu. - Czeka na ciebie przed teatrem, na tylnym siedzeniu jakiejś okazałej limuzyny, mam rację? Wiadać, że nie skąpi pieniędzy dla swojego mężusia żigolaka. No-sisz się naprawdę nieźle.

- Pieniądze mam własne - warknął, gwałtownym ruchem zawiązując krawat.

- Akurat - prychnęła. - Przecież wiem, że nie miałeś grosza przy duszy. Byłeś goły jak święty turecki.

- Owszem, przed laty tak było - powiedział sztywno. - Ale potem znalazłem sposób, żeby sporo zarobić.

- O, tak. - Zmrużyła oczy. - Znalazłeś bogatą babę, której zawróciłeś w głowie. Założę się, że ciężko pracujesz, żeby była zadowolona...

Nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej sarkazm.

- Celeste umarła rok temu - powiedział po prostu, głosem, z którego nie mogła wyczytać żadnych emocji.

Ania milczała. Czy powinna złożyć mu kondolencje? Nie przeszłyby jej przez gardło. Ale ulgi też nie czuła. Po pierwsze, nie chciała wiedzieć, jak miała na imię... tamta kobieta. A po drugie, właśnie dotarło do niej, że Roman od roku był znowu wolny. A jednak czekał co najmniej trzysta sześćdziesiąt pięć dni, zanim ją odszukał. Czy potrzebowała lepszego dowodu na to, jak mało się dla niego liczy? Raczej nie.

- Założę się, że doskonale wiedziałeś, że występuję w Paryżu, wtedy, te dwa lata temu - powiedziała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

- Owszem - padła lakoniczna odpowiedź. - Widziałem twoje nazwisko na plakatach.

- Dlaczego nie przyszedłeś mnie zobaczyć?

- Bo skończyłoby się to tak jak dzisiaj. - Posłał jej mroczne, nieodgadnione spojrzenie. - A ja byłem żonaty. Nie mam w zwyczaju łamać danego słowa.

Ania wzruszyła ramionami. Cóż mogła o tym wiedzieć? Roman nigdy niczego jej nie obiecał.

Zapadła ciężka cisza. Ona marzyła o tym, żeby móc sięgnąć po peniuar i się weń zatulić, ale wciąż siedziała skulona na brzegu blatu. Choć było to irracjonalne, nagle zaczęła się wsty-

dzić nagości. Roman jednak zdawał się w ogóle jej nie widzieć. Wsunął ręce w kieszenie i zaczął niespokojnie przechadzać się po garderobie, zatopiony w myślach. Doskonale wiedział, o którym popołudniu przed dwoma laty mówiła Ania, bo choć z Celeste wychodzili na miasto niemal codziennie, publicznie całowali się chyba tylko ten jeden, jedyny raz. Tamtego dnia Celeste kupiła bilety na *Śpiącą Królownę*, balet w wykonaniu zespołu z Sankt Petersburga. Kiedy położyła je przed nim na blacie stolika, jej oczy migotały figlarnie. Była pewna, że jej rosyjski mąż ucieszy się z niespodzianki – mówił jej przecież, że wychował się właśnie w tym mieście. On jednak zacisnął tylko usta, pokręcił głową.

- Nie chcesz iść ze mną do opery? – spytała, zbита z tropu. – Dlaczego?

- Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Nie jestem w nastroju.

- Roman, o co chodzi? – Chciała zajrzeć mu w oczy, ale on unikał jej spojrzenia.

- O nic – odpowiedział niemądrze, jak uparty nastolatek.

- Jeśli zamierzasz zakończyć nasz związek, wiesz, że możesz otwarcie mi o tym powiedzieć – powiedziała spokojnie. – Umówiliśmy się na dwa lata i były to najlepsze dwa lata w moim życiu. Chcę zachować to wspomnienie. Nie będę się z tobą rozliczać co do dnia ani zatrzymywać cię na siłę.

Roman spojrzał na Francuzkę z mimowolnym podziwem. Była taka jak zawsze, odkąd ją poznał – elegancka, pogodna i wielkoduszna. Nic w jej zachowaniu się nie zmieniło, choć poprzedniego dnia usłyszała diagnozę, która nie pozostawiała żadnej nadziei. Chorowała na złośliwą odmianę nowotworu; zostało jej nie więcej niż sześć miesięcy życia.

Przyglądając jej się, wypił łyk wina, a potem odstawił kieliszek na blat. Tych kilka sekund wystarczyło mu na podjęcie decyzji.

- Pal diabli naszą umowę – powiedział sucho. – Nie zostawię cię. Nie będziesz przechodzić przez to sama.

Kiedy ujął jej dłoń, zobaczył po raz pierwszy, jak jego żona walczy ze łzami.

- Będę z tobą przez cały czas, aż do końca – zapewnił. A po-

tem pocałował jej drżące usta. To przyrzeczenie znaczyło dla nich obojga więcej niż przysięga ślubna.

Celeste umarła rok później. Nawet w ostatnich tygodniach, gdy wymizerowana chorobą leżała w łóżku, ciągle uśmiechała się z satysfakcją.

- Wygrałam pół roku życia - powtarzała, zadowolona. - Zawsze wiedziałam, że jestem szczęściarą.

Stojąc nad jej trumną, Roman powiedział sobie, że to raczej on jest szczęściarzem. Przez te trzy lata z Celeste przebył daleką drogę, nauczył się życia. Ale dopiero gdy zobaczył Anię, pojął, że niektóre rzeczy się nie zmieniają.

- Dlaczego się nie odezwałeś do Danila? - zawołała Ania zza drzwi łazienki. - Nie rozumiem, jak mogłeś nie nawiązać kontaktu z własnym bratem przez te wszystkie lata.

- Skąd wiesz, że tego nie zrobiłem?

- Bo rozmawiałam z nim nie dalej jak dziś rano. Danil wciąż mieszka w Londynie.

- Wiem o tym.

- Ożenił się...

- Owszem, doszły mnie takie słuchy.

- ...i ma córeczkę.

- To także obito mi się o uszy.

- A nie obito ci się o uszy, że Danil od lat próbuje cię odnaleźć albo przynajmniej dowiedzieć się, czy żyjesz?! - Ania, owinięta w ręcznik, stanęła w drzwiach łazienki. Włosy miała mokre po prysznicu, a jej zielone oczy miotły błyskawice.

- Domyślam się, że kiedy zobaczyłaś mnie w Paryżu, zaraz pobiegłaś mu o tym opowiedzieć - rzucił z przekąsem, nie udało mu się jednak do końca ukryć niepokoju.

- Źle się domyślasz. - Pokręciła głową. - Nie powiedziałam mu ani słowa. To sprawa między wami dwoma, nie zamierzam się wtrącać. Ale nie licz na to, że nadal będę cię kryła. Wiesz, że w najbliższą niedzielę są chrzciny twojej bratanicy?

Nie odpowiedział. Uniósł tylko ręce i nerwowo przeczesał włosy. Wyglądało to tak, jakby chciał zatkać sobie uszy i Ania parsknęła niewesołym śmiechem.

- Roman, na jakim świecie ty żyjesz? Może i wstąpiłeś do Legii Cudzoziemskiej, zmieniłeś nazwisko i otrzymałeś nową tożsamość, ale to nie znaczy, że my wszyscy przestaliśmy istnieć! Twoja bratanica ma na imię Nadia...

- Ania, proszę cię, daj spokój - wpadł jej w słowo, ale nie dała sobie przerwać.

- Danil zaprosił też Seva, który przyjedzie ze swoją młodziutką żoną, Naomi. Ach, no i oczywiście będzie Nikołaj. Pamiętasz, że zawsze chciał zostać marynarzem? Podobno ma fantastyczny jacht.

Danil, Sev, Nikołaj... imiona brata i dawnych przyjaciół, których się wyparł, były jak odbezpieczone granaty, które w niego ciskała. Każde z nich wywoływało ból, ale dopiero, gdy usłyszał ostatnie, zareagował.

- Dlaczego kłamiesz? Nikołaj uciekł z bidula i skończył ze sobą, rzucając się do rzeki. Byłaś już w internacie, więc mogłaś o tym nie słyszeć.

Pamiętał aż za dobrze tamten ponury dzień, kiedy w *Dietskim Domu* gruchnęła wieść, że ciało Nikołaja wyłowiono z Newy. Siedział, jak co wieczór, zamknięty w swoim pokoju, ale jeden z opiekunów przyszedł specjalnie, żeby podzielić się z nim tą wiadomością. Roman nigdy nie zdołał zapomnieć okrutnego uśmiešku na twarzy mężczyzny, który szczerze go nienawidził. Tak bardzo chciał porozmawiać z Sevem, jedynym przyjacielem, jaki mu pozostał. Zmusił się, żeby poprosić o pozwolenie, ale odpowiedział mu tylko szcęk klucza w zamku, kiedy opiekun wyszedł bez słowa. Został sam, on i lodowata, listopadowa noc za gęsto zakratowanym oknem. Nie uronił ani jednej łzy; płakać po prostu nie potrafił. Ale tamte mroczne godziny były najtrudniejszymi w jego życiu. Nigdy nie był tak bliski kompletnego załamania.

Ania mówiła dalej, a on nie umiał pojąć sensu jej słów. Przeżył żalobę po przyjacielem. Jak miał uwierzyć, że Nikołaj żyje?

- Okazało się, że ciało wyłowione z rzeki należało do jakiegoś innego nieszczęśnika. Nikołaj przeżył. I całkiem nieźle sobie poradził. Zresztą, sam będziesz mógł go wypytać o wszystko, już w niedzielę. Spodziewam się, że zaszczycisz swoją obecnością

chrzciny bratanicy.

Miał wziąć udział w radosnym, rodzinnym święcie, razem ze swoim bratem, którego nie widział od dnia, gdy dotkliwie go pobił? O czym miałyby rozmawiać z przyjaciółmi, z którymi rozdzieliło go życie? Nie wiedział, czy znajdzie dość sił, by sprostać takiemu wyzwaniu.

- A ty? Idziesz na te chrzciny? - wydusił wreszcie.

- Idę - skinęła głową. - I dobrze ci radzę, zrób to samo. Danil ma prawo wiedzieć, że jego brat żyje! Jeśli się z nim nie skontaktujesz, sama mu wszystko...

- Panno Iliuszyn, autokar został już podstawiony na parking przed teatrem, odjazd za piętnaście minut. - Asystent zapukał do drzwi, szarpnął za klamkę raz i drugi, wreszcie zrezygnował.

- Panno Iliuszyn, słyszy mnie pani?

- Proszę dać mi jeszcze parę minut. - Ania zacisnęła dłonie na wilgotnym materiale ręcznika. - Chociaż... nie wiem, czy wezmę udział w przyjęciu. Migrena...

- Ubierz się, zrób na bóstwo i jedź - powiedział Roman cicho.

- Nie będę cię zatrzymywał, bo jeszcze Katia gotowa powiedzieć, że mam na ciebie zły wpływ.

Ania uśmiechnęła się z rozbawieniem, widząc na jego twarzy wyraz autentycznego niepokoju. W *Dietskim Domu* Katia budziła postrach, potrafiła trzasnąć w ucho nawet wyższego od siebie młokosa, jeśli ten nie zachowywał się przy stole jak należy. Najwyraźniej nawet w zawodowym żołnierzu samo wspomnienie jej ciężkiej ręki wciąż budziło lęk.

- Tego nie musisz się obawiać, bo mama nie żyje.

- Cóż... świeć Panie nad jej duszą - wydukał.

- Dzięki. - Ania nie oczekiwała od niego wylewnych kondolencji.

- Pójdę już. - Roman przestąpił z nogi na nogę. Czuł się dziwnie skrępowany, a tego nie znośił.

- Zaczekaj - wyrwało się Ani. - Ubiorę się i wyjdziemy razem.

Zdjęła sukienkę z wieszaka i zamknęła się w łazience. Dłonie drżały jej lekko, kiedy rozczesywała wilgotne włosy. Szybko ubrała się w bieliznę, włączyła suszarkę i przymknęła oczy, pozwalając, żeby unoszone ciepłym wiatrem długie pasma miękko

otuliły jej twarz.

Powinna była dać Romanowi zdecydowaną odprawę. Ale nie, ona jeszcze prosiła go, by został... Stanowczo musiała wziąć się w garść.

Kiedy po dziesięciu minutach stanęła w drzwiach łazienki, zastała go przemierzającego garderobę tam i z powrotem, z rękami w kieszeniach.

- Myślałem, że primabaleriny ubierają się strojnie - rzucił, spoglądając z zaskoczeniem na jej szarą sukienkę o skromnym, lekko staroświeckim kroju.

- Owszem, na tym polega moja praca. Wychodzę na scenę w złocie, cekinach, piórach i wszelkiego rodzaju ozdobach, jakie udało się wymyślić projektantom kostiumów. Prywatnie lubię prostotę. - Wsunęła stopy w czarne pantofle na obcasie.

Skinął głową. Podobała mu się jej klasyczna fryzura - włosy, przytrzymane z tyłu głowy klamrą w kształcie liścia paproci, spływały na plecy szeroką, ciemną falą. Podobał mu się oszczędny makijaż, który nie tłumiał blasku jej świetlistej cery i pozwalał podziwiać dziewczęce, delikatne rysy. Poza sceną Ania nie używała pudru. Nie musiała. Podobał mu się naszyjnik z oprawionymi w srebro perłami, który połyskiwał w obramowaniu jej dekoltu. Ale rozmowy o modzie i urodzie nie były jego mocną stroną, więc w milczeniu podał jej ramię. Otuliła się szalem, sięgnęła po torebkę, a potem ujęła jego ramię i ruszyli razem przez puste o tej porze korytarze teatru. Minęła dłuższa chwila, zanim Ania odważyła się zadać pytanie, które nie dawało jej spokoju.

- Jak się poznaliście z... Celeste?

Jej drżący głos rozdarł głęboką ciszę, podkreśloną zwielokrotnionym echem ich kroków.

- Nieważne - mruknął. - Daj spokój.

- Dla mnie to jest ważne. - Poczowała, że wzbiera w niej złość. Niech go szlag, jeśli sądził, że ona da się tak łatwo zbyć. - Powiedz mi, Zwieriew, gdzie znalazłeś taką żonę? Zakochałeś się w niej czy raczej w jej pieniądzech?

- Gdzie ją znalazłem? - podjął tonem pogawędki. - Wyobraź sobie, że w gazecie, w dziale ogłoszeń. Szukała męża, nie miała

wielkich wymagań. Postanowiłem zgłosić moją kandydaturę.

Miarowy rytm, który jej obcasy wystukiwały na marmurowej posadzce, załamał się i umilkł, kiedy zmyliła krok i zatrzymała się gwałtownie. Gdyby Roman uderzył ją w twarz, nie zaboląoby jej to bardziej niż słowa, które właśnie usłyszała.

Co takiego?! Ona przez lata wypłakiwała z oczu łzy, tęskniąc i czekając, a on nie raczył się nawet odezwać. Wolał się związać z obcą, bogatą babą, która dała ogłoszenie w gazecie...

- Ty łajdaku! - wybuchnęła, odskakując od niego, rozwścieczona jak kotka. Och, z rozkoszą wydrapałaby mu oczy...

- Niewykluczone, że nim jestem - stwierdził rzeczowo w odpowiedzi.

- Idź już. - Gniew opuścił ją równie nagle, jak się pojawił. Został tylko smutek. - Idź i nie wracaj - powiedziała z uporem.

A Roman, jak to on, po prostu odszedł. Nie oglądając się za siebie.

Patrzyła, jak po raz kolejny znika z jej życia. Tylko duma powstrzymała ją przed tym, żeby wykrzyknąć jego imię.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Świt zaczynał dopiero rozjaśniać niebo nad Londynem, niosąc zapowiedź pogodnego, niedzielnego poranka, gdy Roman ocknął się nagle, wyrwany ze snu przez potężny dreszcz niepokoju.

Dziś zobaczy brata.

Podjął decyzję, że pojawi się na chrzcinach małej Nadii. I nie zamierzał zmienić zdania, choć perspektywa stanięcia twarzą w twarz z Danilem sprawiała, że czuł się co najmniej nieswojo. Dotąd nie zdołał się przemóc, by do niego zadzwonić, a przecież numer telefonu miał pod ręką. Po prostu nie wiedział, co mógłby powiedzieć bratu.

Ze za nim tęsknił?

Owszem, tęsknił. Bardziej, niż potrafił to wyrazić. Odkąd Danil zniknął z jego życia, Roman miał wrażenie, że zabrakło mu kawałka duszy – tego kawałka, gdzie mieszkała beztroska radość i spokojne szczęście. Pozostało dręczące uczucie pustki i niesprecyzowanego, ale dojmującego braku.

Kiedy w dniu swoich osiemnastych urodzin znalazł się na ulicy, a drzwi *Dietskiego Domu* zamknęły się za nim z trzaskiem, marzył tylko o jednym – by odnaleźć brata. Zacisnął zęby i powiedział sobie, że nie może być o tym mowy. Danil był teraz Anglikiem, synem zamożnych rodziców. Chodził pewnie do elitarnej szkoły, grał w tenisa, wakacje spędzał, żeglując. Czekala go wspaniała przyszłość. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to brat – prymityw i nędzarz, pojawiający się, ni stąd, ni zowąd, na progu jego domu.

Roman za nic na świecie nie chciał być kulą u nogi. Dla nikogo. Musiał poradzić sobie sam.

Szybko się zorientował, że kariery w boksie nie zrobi. Był niezły, owszem, ale to mu nie wystarczało. Jako dziecko marzył, by wychodzić na ring, oklaskiwany przez kibiców, i widowiskowymi ciosami nokautować przeciwników. Ale im więcej walk miał

na swoim koncie, tym bardziej się przekonywał, że nie chce spędzić życia, wymachując pięściami.

Wreszcie zdecydował, że zaciągnie się do Legii Cudzoziemskiej. To była czysto zdroworozsądkowa decyzja. On mógł zaofiarować im to, czego potrzebowali – był młody, krzepki, wytrzymały. Krótko mówiąc – *gniotsa nie łamiotsa*. W dodatku nie miał nic do stracenia. A oni mogli mu dać dokładnie to, czego pragnął. Nowe nazwisko, nowe życie. Danil był Anglikiem; dlaczego Roman nie miał zostać Francuzem?

Postawił wszystko na jedną kartę i udało mu się. Zdołał przejechać Rosję i pół Europy. Zdołał trafić do punktu rekrutacyjnego, choć słowa nie mówił po francusku. Zdołał przebrnąć przez selekcję, chyba dlatego, że niczego się nie bał; ani wielokilometry bieg na orientację, w upale i z morderczym obciążeniem, ani testy sprawnościowe czy psychologiczne nie zrobiły na nim większego wrażenia. Nie obawiał się bólu, samotności, głodu, pragnienia ani skrajnego wyczerpania. Podczas trwających trzy tygodnie testów, gdy niejeden osiłek płakał jak dziecko, które chce do mamy, on czuł się właściwie jak na wakacjach. Nic, absolutnie nic z wątpliwych atrakcji, obmyślonych przez selekcyjnerów, nie mogło się równać z codziennością w rosyjskim sierocińcu.

Nie minął miesiąc, a otrzymał przydział do Drugiego Cudzoziemskiego Regimentu Powietrznodesantowego. Zaczął nowe życie.

Rok później po raz pierwszy otarł się o śmierć.

To było w przeklętym, nieznośnie gorącym kraju, gdzie można było spotkać uzbrojonych w karabiny zabójców, którzy mieli po dziesięć lat i brzuchy wzdęte głodem. Został przydzielony do niewielkiego patrolu, wysłanego z misją wywiadowczą. Nadmiernie pewny siebie dowódca nie docenił przeciwnika, co było fatalnym błędem. Rebelianci byli czujni, dobrze uzbrojeni i nieuchwytni. Legioniści znaleźli się pod ostrzałem jak kaczki podczas polowania.

– Rozdzielić się! Odwrót! – To było ostatnie polecenie, jakie Roman usłyszał. Sekundę później zbłąkany pocisk rozorał mu plecy, o włos omijając kręgosłup. Kiedy odzyskał przytomność,

wokół panowały ciemności. Dokonał niemal nadludzkiego wysiłku i udało się mu dźwignąć na czworaki. Rana na plecach paliła żywym ogniem, upływ krwi sprawił, że kręciło mu się w głowie. Sięgnął do radia, ale palce trafiły tylko na połamane kawałki plastikowej obudowy.

- *Bładź!* - wyrwało mu się.

- Roman? *C'est toi?* - rozległ się w ciemności stłumiony głos.

- Dario?

- Tak. Oberwałem w nogę, nie mogę się ruszyć. Wysłałem sygnał s.o.s., ale nie mam pojęcia, czy ktoś go odebrał. Radio mam chyba zepsute. Nie wiem, jak to możliwe, te ustrojstwa powinny być niezawodne...

- Moje jest rozwalone, zdaje się, że dostało kulkę. - Zaciskając zęby, żeby nie jęczeć z bólu, Roman przyczołgał się do kolegi. Dario był starszy od niego niemal dwukrotnie, a w Legii służył od prawie dziesięciu lat. - Nie pozostaje nam nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość i czekać.

- Chyba tak. Liczmy na to, że te dzikusy nie znajdą nas pierwsze.

Niebawem okazało się, że czekanie do łatwych zadań nie należy. Przed świtem temperatura jeszcze bardziej spadła; nie było ucieczki przed przejmującym, wilgotnym chłodem, nie mniej dotkliwym niż ból i wycieńczenie. Roman wsunął rękę do kieszeni, zacisnął palce na maleńkim, złotym kolczyku ze skowronkiem i obiecał sobie, że przetrwa.

- Dario? Dario!

Odpowiedziała mu cisza. Ciężko ranny kolega powoli osuwał się w letarg. Śmierć skradała się ku niemu powoli, kusząc obietnicą ukojenia. Roman był szybszy. Nie żałował ręki, kiedy wymierzał Dariowi kilka bezlitosnych, siarczystych policzków.

- Nie zasypiaj! Nie wolno ci teraz spać. Mów do mnie. Mów, słyszysz?! Opowiedz mi... dlaczego zaciągnąłeś się do tej wesołej kompanii?

- Zwiąłem, zanim posadzili mnie do mamra - padła ponura odpowiedź.

- Nieźle, stary. - Roman gwizdnął przez zęby. - Co przeszkrobałeś? Napadałeś ludzi z bronią w rękę?

- Za kogo ty mnie masz?! - Tamten wyraźnie się rozbudził, może nawet zapomniał o bólu. - Nic z tych rzeczy! Po prostu grałem na giełdzie. Okazało się, że jestem niezły w te klocki, więc założyłem biznes. Szło mi naprawdę świetnie, miałem sporo klientów. Ludzie powierzali mi pieniądze, a ja je pomnażałem. Dla siebie brałem oczywiście odpowiedni procent. A potem woda sodowa uderzyła mi do głowy, przestałem przestrzegać zasad. I wszystko straciłem. Żeby utrzymać się na powierzchni, zacząłem oszukiwać. Postawiłem na tak zwany schemat Ponziego. Ludzie dawali mi pieniądze, a ja byłem coraz bardziej pod kreską. Oczywiście, to nie mogło trwać wiecznie. Kiedy sprawa się ryła, nie czekałem na gliniarzy i komornika, tylko zwałem.

- Giełda papierów wartościowych? - Roman udał, że ziewa. - Współczuję ci. To chyba najnudniejsze zajęcie na świecie, dobre dla wymanikiurowanych gogusiów, którzy podniecają się cyferkami.

- Co ty pleciesz? - Tak jak Roman się spodziewał, Dario znów zapalił się do rozmowy. - Nie masz pojęcia, jakie to jest fascynujące. Obcujesz z pieniądzem jak z żywą istotą. Niemal słyszysz jego puls..

- Fakt, nie mam pojęcia. Może więc mnie wtajemniczysz? - podsunął Roman.

Do świtu było jeszcze daleko, a on gotów był słuchać nawet wykładu o ekonomii, byle tylko powstrzymać rannego przed zapadnięciem w letarg.

Nie mógł wiedzieć, że właśnie zaczyna się nowy rozdział jego życia. Choć rozmawiali po francusku, w języku, który dla Romana wciąż był nowy, i mimo tego że o wyższej matematyce, teorii gier i zarządzaniu ryzykiem nie miał bladego pojęcia, zorientował się, że doskonale rozumie, o czym Dario mówi. Więcej, wywód wydał mu się sensowny. A nawet ciekawy. Ba, fascynujący. Kolejne pytania zadawał już nie z obowiązku, a po prostu dlatego, że chciał poznać odpowiedź. Zanim tamta straszna noc dobiegła końca, wiedział już, że jeśli przeżyje, spróbuje swoich sił w świecie finansów.

Przeżyli obaj. Przetransportowano ich do szpitala wojskowego, a potem zesłano na trzy miesiące rekonwalescencji do obo-

zu w Prowansji. Roman wykorzystał przymusową beczynność na pogłębianie wiedzy. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce, i zadreślał Daria tysiącami pytań. A potem, pewnego dnia, wziął cały swój zaoszczędzony dotąd żołd, i znów postawił wszystko na jedną kartę.

I tym razem mu się udało. Miał czas, cierpliwość i szósty zmysł, który sprawił, że niemal od razu poczuł się w świecie finansów jak ryba w wodzie. Co więcej, potrafił żyć bez pieniędzy, więc pokusa bogactwa nie zdołała go złamać. Mechanizmy rządzące rynkiem obserwował chłodnym okiem, trzymając się pewnie narzuconej sobie dyscypliny. Kiedy zarobił pierwszy milion, zdumiało go to, kolejne już tylko go bawiły. Po pięciu latach w Legii był człowiekiem bardzo zamożnym. Odnowił kontrakt na kolejne pięć, a w dniu, w którym zdecydował się wrócić do cywila, był multimilionerem.

Mało kto o tym wiedział. Roman karty trzymał przy sobie, a na bogacza naprawdę nie wyglądał. Ostatni wieczór, jaki spędził w koszarach, koledzy postanowili uczcić kilkoma butelkami koniaku.

- Za żołnierza o wiecznie ponurej gębie, który podczas dziesięcioletniej służby odezwał się zaledwie kilka razy - jeden z kolegów uniósł kieliszek. - Wielu z nas dotąd nie słyszało, by powiedział cokolwiek poza regulaminowym „tak jest!”, ale każdy wie, że lepszego towarzysza broni ze świecą szukać. Zawsze można było na nim polegać, nigdy nie zawiódł. Każdy z nas bez lęku powierzyłby mu swoje życie.

Rozległ się ogólny aplauz i nikt nie zauważył, że Roman i tym razem nie zabrał głosu. Publiczne przemowy nie były jego mocną stroną. Osuszano kolejne flaszki, humory dopisywały.

- Gdzie ty się podziejesz, biedny sieroto, kiedy opuścisz naszą wesołą kompanię? - spytał ktoś.

Roman wzruszył ramionami. Sierotą, owszem, był, ale ten, kto nazwał go biednym, troszeczkę minął się z prawdą. Na koncie, założonym na nowe nazwisko, widniała obecnie kwota dziewięciocyfrowa. Jednak nie zmieniało to faktu, że zupełnie nie wiedział, co robić dalej. Wojaczki miał już dość, ale życie w cywilu było dla niego jak nieodkryty kontynent. Dzieciństwo spędził

dził w sierocińcu, młodość w koszarach. Nigdy nie mieszkał w normalnym domu, nie miał pojęcia o zwyczajnym życiu. Owszem, mówił teraz trzema językami i był bogaty, ale posiadał dość samokrytycyzmu, by wiedzieć, że nadal jest prymitywem.

- Nie wiem jak Roman, ale gdybym ja dziś wychodził, udałbym się prosto do niejkiej... Celeste. - Młody, czarnoskóry żołnierz wyszczerzył zęby w uśmiechu, postukał palcem w gazetę, otwartą na stronie z ogłoszeniami.

Celeste, paryżanka po czterdziestce, szukała mężczyzny, najchętniej nieco młodszego, który byłby gotów ją poślubić, możliwie w jak najszybszym terminie. Od kandydata nie oczekiwała miłości, tylko dobrej prezencji, fantazji w łóżku i gotowości, by brać udział w wielkomięjskim życiu towarzyskim i kulturalnym, jakie prowadziła. Małżeństwo miało zostać zawarte w Paryżu i trwać dwa lata, chyba że strony zadecydują inaczej. Status majątkowy męża był Celeste obojętny; jak zaznaczała w krótkim tekście, pieniędzy miała wystarczająco dla dwojga.

Anons został odczytany na głos, przy wtórze gromkich rechotów. Dwa lata fikuśnego seksu z bogatą paryżanką? Wszyscy uważali, że to nie lada gratka, i jeden przez drugiego deklarowali, że dla dobra sprawy są gotowi nawet wytrzymać arcynudne wieczory w teatrze albo innej operze. Ba, znieśliby mężnie nawet balet...

Roman śmiał się z innymi, ale nagle umilkł, rażony oczywistością rozwiązania. Potrzebował kogoś, kto wprowadzi go w życie. A Celeste potrzebowała męża. Układ wydawał się niemalże idealny. Następnego dnia podjął kolejną, na chłodno wyrozumowaną decyzję, i odpowiedział na ogłoszenie. Celeste z miejsca go ujęła, kiedy powiedziała otwarcie, że chce stanąć na ślubnym kobiercu, żeby uszczęśliwić umierającego ojca. Odpłacił jej szczerością za szczerść - wyznał, że potrzebuje kogoś, kto może mu nabrać ogłady godnej prawdziwego Europejczyka. Francuzka zmierzyła bardzo zadowolonym spojrzeniem jego niemal dwumetrową postać i oświadczyła, że lepszego męża nie mogłaby sobie wymarzyć.

Kiedy dwa tygodnie później brali ślub, lody między były już na dobre przełamane. On szczerze polubił jej bezproblemowość

i pogodę ducha, a ona zapaliła się do pomysłu, by zrobić z niego dżentelmena. Mijał czas, a małżeństwo z rozsądku, ku zaskoczeniu obojga, okazywało się coraz bardziej szczęśliwe. Choć planowali inaczej, dane im było dotrzymać przysięgi. On nie opuścił jej aż do śmierci.

- Roman - wyszeptała Celeste, po raz ostatni przytomnie otwierając oczy. - Byłeś dla mnie prezentem od życia. Dziękuję ci za... wszystko.

On też miał za co jej dziękować. Miała klasę, była diabelnie inteligentna i potrafiła entuzjastycznie korzystać z życia. Po trzech latach w jej towarzystwie stał się innym człowiekiem. Nie był już prostakiem z rosyjskiego sierocińca. Był obywatelem Europy, jak Danil. Nic nie stało już na przeszkodzie, by odszukał brata; nie przyniósłby mu wstydu, nie stałby się dla niego kulą u nogi. A jednak - wciąż z tym zwlekał. Ogromny spadek po Celeste trafił do jej siostry, a wdowiec, ku niepomiernemu zdumieniu obdarowanej, nie próbował podważyć testamentu. Roman pieniędzy miał pod dostatkiem; za namową Celeste zaczął inwestować w nieruchomości i odkrył, że bawi go to nie mniej niż giełda. Kupował okazjnie, jeśli było trzeba - remontował i podnosił standard, a sprzedawał wtedy, gdy koniunktura pozwalała osiągnąć maksymalny zysk. Dzięki tej działalności pewnego dnia odkrył miejsce, które stało się jego domem. Dwupoziomowe mieszkanie na poddaszu starej kamienicy w dzielnicy łacińskiej, w samym sercu Paryża, choć wyposażone we wszelkie nowoczesne wygody, przypominało w jakiś nieuchwytny sposób jego pierwszy, ciasny pokój w Sankt Petersburgu. A fakt, że do mieszkania przynależał nieprzyzwoicie wielki taras, z którego rozciągał się widok na Sekwanę, spokojnie toczącą swoje wody pod klamrami kamiennych mostów, zupełnie mu nie przeszkadzał... Tutaj urządził swoją kwaterę główną.

Wiele by dał, żeby być tam teraz, witać dzień filizanką kawy i croissantem, śledząc kursy giełdowe albo przeglądając ogłoszenia o nieruchomościach na sprzedaż. Ale tego ranka obudził się w londyńskim pokoju hotelowym, gotów podjąć kolejny, życiowy krok. Tyle, że tym razem nie była to zdroworozsądkowa, wykalkulowana decyzja. Wiedział po prostu, że spotka się z Da-

nilem, nawet jeśli perspektywa tego spotkania budziła w nim więcej lęku, niż nadziei.

Było coś jeszcze – w skrytości ducha liczył na to, że znów zobaczy Anię. Ale do tej myśli nie przyznałby się za skarby świata. Nawet przed samym sobą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Dzień dobry, panie Zwieriew. Wcześniej wybrał się pan dziś do miasta - portier, którego Roman widział po raz pierwszy w życiu, uśmiechnął się szeroko, jakby pozdrawiał kogoś dobrze znajomego.

Roman odpowiedział mężczyźnie skinieniem głowy, kryjąc rozbawienie. A więc wciąż był podobny do Danila... Przed laty, w *Dietskim Domu*, młodszy stażem wychowawcy nagminnie mylili bliźniaków. Ba, był nawet taki, którego udało się im przez dobry tydzień trzymać w przekonaniu, że Zwieriew jest tylko jeden! Teraz podobieństwo do brata bardzo mu się przydało - nie musiał odpowiadać na pytania portiera, nie musiał czekać, aż Danil zdecyduje, czy chce go wpuścić, czy nie. Po prostu wszedł do windy i nacisnął najwyższy guzik, uniesieniem brwi kwitując odkrycie, że brat, podobnie jak on, wybrał mieszkanie na najwyższej kondygnacji budynku. Na tym jednak analogie się kończyły. Roman mieszkał w zabytkowej kamienicy przy jednej z wąskich uliczek starego Paryża, a Danil w nowoczesnym apartamentowcu, otoczonym zielenią. Roman był sam jak pies, jeśli nie liczyć konsjerżki, która uparła się, żeby wziąć go pod skrzydła, i samozwańczo mianowała się jego gospodynią, a Danil miał żonę i córeczkę.

Stał przed podwójnymi drzwiami z mahoniowego drewna i odetchnął głęboko, przywołując spokój. Nie był w stanie zliczyć, ile razy brał udział w zbrojnych akcjach, podczas dziesięcioletniej służby w Legii. Ale nawet wtedy, gdy pod osłoną nocy skakał ze spadochronem na terytorium wroga, czołgał się z karabinem gotowym do strzału albo czekał w zasadzce na sposobność ataku, serce nie biło mu tak szybko i gwałtownie jak teraz.

Pojednanie z bratem było zadaniem o wiele trudniejszym niż walka z wrogiem, ale Roman dość już się naczekał. Powiedział sobie twardo, że da radę. I nacisnął przycisk dzwonka.

Wewnątrz rozległy się szybkie, lekkie kroki, drzwi otworzyły się na oścież i stanęła w nich zaaferowana młoda blondynka.

- Dzień dobry, to świetnie, że już państwo są... - zaczęła i urwała, a na jej twarzy odmalował się wyraz szoku i niedowierzania.

- Danil! Chodź prędko! - zawołała przez ramię, głośno, nagłaco. Kiedy znów obróciła się ku nowo przybyłemu, jej oczy lśniły radością. - Roman. Ile myśmy się ciebie naszukali - wyszeptała drżąc i, ku jego najwyższemu zaskoczeniu, rzuciła mu się na szyję.

Jeszcze nie tak dawno w podobnej sytuacji zamarłby w bezruchu i stał jak kołek, nie mając pojęcia, jak należy zareagować. Ale nauka pod okiem Celeste nie poszła w las, więc zamarkował dwa powitalne całusy, niemal nie dotykając jej policzków.

- Jestem Libby. - Odsunęła się na odległość ramion, ale wciąż nie wypuszczała go z objęć. - Twoja... bratowa.

- Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi - Cofnął się nieznacznie, uwalniając z jej uścisku. - Chciałem tylko pogratulować wam narodzin córki i...

Urwał raptownie, kiedy obok Libby stanął jej mąż. To było trochę tak, jakby zobaczył samego siebie w zwierciadle czasu. W jego wspomnieniach Danil wciąż był chłopcem, teraz zaś miał przed sobą mężczyznę. I dziwne wrażenie, że ten człowiek jest - musi być! - kimś niewypowiedzianie bliskim, choć równocześnie wydawał się niepokojąco obcy.

Jego twarz znaczyła biała kreska blizny i Roman niemal poczuł ból pięści, która przed laty zmiażdżyła policzek brata. Przez chwilę, tak gęstą od napięcia, jakby skondensowały się w niej wszystkie lata rozłąki, Danil patrzył na niego bez słowa, bez ruchu. Nagle zaczęły mu drżeć usta.

- Gdzieś ty się podziewał przez te wszystkie lata?! - wykrzyczał zamiast powitania. - Gdzie cię zaniósło? Myślałem... bałem się... że nie żyjesz!

- Jak widzisz, żyję - odezwał się niezbyt błyskotliwie Roman. Stał naprzeciwko własnego brata i nie miał pojęcia, co powiedzieć.

- Słyszałem, że zostałeś ojcem - dodał sztywno. - Przyjmij

gratulacje.

- Super, dzięki - skrzywił się tamten. - Gratulacje przyjęte. To wszystko? Ani słowa o tym, co porabiałeś, odkąd się ostatnio widzieliśmy?

- Nic szczególnie ciekawego - wzruszył ramionami Roman, ale Danil nie zamierzał ustąpić.

- Gdzie mieszkasz?

- W Paryżu - powiedział niechętnie. Na to pytanie trudno było odpowiedzieć wymijająco.

- Od dawna? - indagował tamten.

- Od paru lat.

- Co takiego? - głos brata zadrżał od gniewu. A może to był ból? - Paryż jest o godzinę drogi stąd! Mogłeś po prostu wsiąść w pociąg i przyjechać. Ale tobie się nie spieszyło, prawda? Czekasz parę lat!

Zacisnęła pięści, zrobił krok w stronę brata. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Danil! - Libby podniosła głos, zdecydowanym gestem położyła dłoń na ramieniu męża. - Roman, wejdz, proszę - dodała, zmieniając ton. - Rozgość się.

Co było robić? Skinieniem głowy podziękował za zaproszenie i, zachęcany szerokim gestem pani domu, wszedł do salonu. Znalazł się w ogromnym pomieszczeniu, które zdawało się wypełnione słońcem. Ściany były częściowo przeszklone; do wnętrza wpadały całe potoki porannego światła, na horyzoncie, za linią wysokich drzew o rozłożystych koronach, rysowała się panorama Londynu.

- Piękne miejsce. - Roman nie mógł oderwać spojrzenia od widoku za oknem, choć coś mu mówiło, że powinien raczej uważnie obserwować brata i mieć się na baczności. Danil wyglądał, jakby chciał mu przyłożyć, i to, paradoksalnie, było dla Romana pewną ulgą. Pomyślał nawet, że może porządna bijatyka oczyściłaby atmosferę. Obydwaj poczuliby się jak za dawnych lat...

Jednak Danil ochłonął wyraźnie, co było niewątpliwą zasługą jego żony.

- Nie masz pojęcia, ile się ciebie naszukałem - westchnął,

podchodząc do okna. Ręce schował do kieszeni spodni, może w nadziei, że to powstrzyma go przed wymierzeniem bratu prawdziwego prostego. – W Sankt Petersburgu byłem kilkakrotnie. Chodziłem, pytałem, ale nie natrafiłem na twój ślad. Ktoś słyszał podobno, że zamierzałeś się zaciągnąć do Legii Cudzoziemskiej. Wiedziałem, że jeśli to prawda, nie odnajdę cię już nigdy.

– Owszem, zaciągnąłem się niedługo po wyjściu z *Dietskiego Domu* – przyznał Roman. – Służyłem dziesięć lat.

– Rozumiem. – Danil posłał mu chłodne spojrzenie. – To dlatego te wszystkie tajemnice. Nie mogłeś mi powiedzieć, co robisz, nie mogłeś nawet dać mi znać, że żyjesz i masz się dobrze, bo Romana Zwieriewa już nie ma. Jak się nazywasz teraz? Pierre? Tego pewnie też nie możesz mi zdradzić.

Roman milczał. Prawda była taka, że zrezygnował z nowej tożsamości, której przed laty tak bardzo pragnął. Gdyby ją przyjął, musiałby się odciąć od wszystkich, którzy w przeszłości byli mu bliscy, a tego zrobić nie chciał. Nie mógł. Ze względu na brata... i nie tylko na niego.

– Wiesz, co? Nawet do twarzy ci z tą blizną – rzucił, zmieniając temat.

– Też ją polubiłem. – Danil skrzywił się cynicznie. – To była przecież jedyna pamiątka, jaką miałem po własnym bracie. Przyznaj się, Roman – dodał, obracając się ku niemu – wygrzmociłeś mnie wtedy, żebym z płaczem uczepił się spódnicy nowej angielskiej mamuśki?

– Wiedziałem, że to jedyny sposób, by cię przekonać do wyjazdu – przyznał niechętnie.

– Nie chciałem jechać. O tym też wiedziałeś, ale nic cię to nie obchodziło.

– No i kto miał rację? – Roman wpadł w słowo bratu. – Zyskałeś kochającą rodzinę, dostatni dom, wykształcenie...

– *Paszol ty...!* Kochająca rodzina? – Danil pokręcił głową i roześmiał się niewesoło. – W bajki wierzysz? Nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie!

– Fakt, nie mam pojęcia. Może dlatego, że nie raczyłeś napisać do mnie ani jednego listu – wytknął Roman.

– Powiedz raczej, że żadnego nie dostałeś – odparł brat z re-

zygnacją. – Na początku pisałem do ciebie jak maniak, prawie codziennie. Ale byłem na tyle naiwny, że nie chodziłem sam na pocztę. Zresztą, nie bardzo pozwalano mi wychodzić. Listy mieli wysyłać moi nowi rodzice, ale nie robili tego. Mówię ci, nie masz pojęcia, jak wyglądało moje życie.

– Więc mi powiedz.

– Nie będę cię zanudzał szczegółami. Krótko mówiąc, trafiłem do piekła. Nie było tu może kotłów z wrzącą smołą, ale za to byli ludzie, którzy oczekiwali, że zastąpię im zmarłego syna. Miałem się stać tamtym chłopcem, ubierać się w jego rzeczy, robić dokładnie to, co on by zrobił. Nic dziwnego, że nie mogło być mowy o korespondencji z bratem. Ich syn nie miał brata, więc i ja nie mogłem go mieć. Miałem za to grać w tenisa i – nie uwierzysz! – trenować jazdę figurową na łyżwach. Niestety, szło mi kiepsko. Nie tylko na lodzie. Ogólnie. Prędko dowiedziałem się, że jestem jednym, wielkim rozczarowaniem. Każdy błąd, a tych było sporo, uważano za dowód czarnej niewdzięczności z mojej strony. Dobrzy państwo gorzko żalowali swojego litościwego gestu; rosyjski sierota okazał się niegodny ich dobroczynności. Dziś powodzi mi się niezgorzej i wiem oczywiście, że ci ludzie mieli w tym swój udział. Ale raczej niewielki. Dlatego wróciłem do dawnego nazwiska. Daniel Thomas... to nigdy nie byłem ja.

– Wiem, że wróciłeś do dawnego nazwiska. Widziałem ogłoszenie.

– Od kiedy wiesz? – Danil zmarszczył brwi.

– Od roku.

– I nadal siedziałeś w tym swoim przeklętym Paryżu?! Nie przyszło ci do głowy, że zmieniłem nazwisko także po to, żebyś mógł mnie odnaleźć?

Tego było już za wiele. Libby, która dotąd przysłuchiwała się rozmowie z dyskretnej odległości, postanowiła wkroczyć do akcji. Nie tak wyobrażała sobie spotkanie braci Zwieriewów po latach rozłąki. Rozumiała swojego męża dość dobrze, by nie mieć wątpliwości, że bardzo kocha bliźniaka. A kiedy tego ranka spojrzała w oczy Romana, zobaczyła w nich to samo uczucie. Starał się zachować kamienną twarz, ale ona była zbyt dobrą

obserwatorką, by nie dostrzec w jego wzroku dojmującej tęsknoty i ostrożnej nadziei. Dlaczego więc, kiedy wszystkie przeskody zostały wreszcie pokonane, bracia nie padli sobie w ramiona? Dlaczego nie było łez wzruszenia, wybuchów szczęśliwego śmiechu? Dlaczego Danil nie sięgał po szampana, żeby, pomimo wczesnej pory, wznieść toast za spotkanie? Obaj wiele przeszli, to prawda. Ich dzieciństwo było jak z ponurej baśni, ale przecież wreszcie nastąpiło szczęśliwe zakończenie. Ból starych ran nie mógł być silniejszy niż więź, która ich łączyła. Ta więź była wpisana w ich naturę, prosta i niewymazywalna, jak linia życia. A życie... nie powiedziało jeszcze swojego ostatniego słowa.

Libby przeszła na palcach do sypialni, wyjęła śpiące dziecko z kołyski, owinęła w miękki, szydełkowy kocyk i, trzymając je w ramionach, wróciła do salonu.

- Przedstawiam ci naszą Nadię - uśmiechnęła się delikatnie, podchodząc do Romana.

Roman nigdy jeszcze nie widział z bliska tak małego dziecka.

- Kiedy się urodziła? - spytał nieporadnie.

- Dwa tygodnie temu. - Libby kołysała się lekko, bezwiednie, z czułością wpatrzona w córeczkę.

„Chłopcy, bliźniacy, wiek prawdopodobnie około dwóch tygodni, w normie rozwojowej, stan zdrowia: osłabienie wynikające z niedożywienia, brak widocznych wad wrodzonych czy objawów chorobowych”.

Tak wyglądała notatka, sporządzona przez dyrekcję *Dietskiego Domu* w dniu, w którym trafili do niego bracia Zwieriew. Roman dostał jej kopię wraz z innymi papierami, kiedy opuszczał sierociniec. Dotąd nie przywiązywał do tego świstka żadnej wagi, ale teraz przypomniał sobie wszystko, słowo w słowo. „Chłopcy, bliźniacy, wiek około dwóch tygodni”. *Gospodi pomiluj!* Czy to możliwe, że byli tak maleńcy i bezbronni, kiedy zostali sami na świecie? To było trudne do pojęcia.

- Chcesz ją potrzymać? - Libby zrobiła krok w jego stronę.

- Nie! - cofnął się odruchowo. Miałby wziąć taką kruszynkę w swoje wielkie łapska? Za nic. Jeszcze by ją zgniótł albo coś w tym rodzaju.

Młoda matka nie podzielała jednak obaw szwagra, bo pomimo jego protestu bezceremonialnie podała mu zawiniątko.

- Podtrzymaj jej główkę, o tak - pouczyła, a kiedy Nadia leżała bezpiecznie w ramionach stryja, wycofała się. Była pewna, że jeśli ktoś potrafi sprawić, by dwaj chmurni Rosjanie zapomnieli o goryczy i bólu, które ich podzieliły, to tylko maleńka Nadia. Wystarczyło na nią spojrzeć, by uwierzyć w happy end, w triumf życia i miłości.

Roman stał nieruchomo, jak człowiek, któremu wciśnięto w ręce bardzo niestabilny ładunek wybuchowy. Nie miał pojęcia, jak powinien się zachować.

- Jest bardzo... lekka - powiedział dosyć rozpaczliwie.

Nadia zupełnie nie podzielała jego tremy. Wierzgnęła nóżkami, zamlaskała, przeciągnęła się i ziewnęła głośno, ukazując bezzębne dziąsła. A potem uniosła powieki i spojrzała prosto w oczy Romana. On zaś w jednej chwili zapomniał o skrępowaniu i uśmiechnął się do niej, tak szeroko i szczerze, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. To dziecko miało w sobie coś takiego... że czuł, jak jego serce wypełnia się ciepłem.

- Witaj, moja piękna - powiedział miękko, pieszczotliwie. Tonem, którego nie znał.

Dziewczynka spojrzała na stryja uważniej i zmarszczyła brewki. Grymas był tak znajomy, że z wrażenia zabrakło mu tchu. Jego bratanica miała oczy swojej matki, ale mimikę odziedziczyła po ojcu, a więc - gdy to zrozumiał, gorący dreszcz spłynął mu po plecach - także i po nim. Przecież z Danilem łączyła go wspólnota genów.

Oto na świecie pojawił się ktoś, kto zawsze będzie mu bliski, w ten najprostszy sposób, stworzony przez samą naturę. Mała Nadia była z jego rodziny. Dla kogoś, kto wychował się w sierocińcu, brzmiało to jak odkrycie. Wszelkie deklaracje były zbędne; Roman wiedział, że będzie kochać to dziecko. Już je kochał. Podniósł wzrok i napotkał rozpromienione, wszystko rozumiejące spojrzenie Libby.

- Udała się nam córeczka, prawda? - zagadnął Danil, też uśmiechając się szeroko. Jakby za sprawą potężnej magii, którą władało maleńkie dziecko, mur bolesnych wspomnień zaczął się

kruszyć, aż wreszcie rozsypał się w proch, aż po fundament żalu i niezrozumienia. Zniknęła uraza, złość, niechęć. Przeszłość z jej dramataми nagle zbladła, odeszła tam, gdzie jej miejsce, ustępując przed potężną energią życia.

- Mała szczęściara - powiedział Roman, podając Nadię dumnemu ojcu. Nie musiał mówić nic więcej, w oczach Danila zobaczył zrozumienie. Ta dziewczynka nie zazna niedoli, jaka stała się ich udziałem. Nigdy nie dowie się nawet, jak straszna może być samotność dziecka w okrutnym, obojętnym świecie.

Danil wyciągnął ramiona, z wprawą ujął maleńkie ciało, przytulił córeczkę do piersi zaborczym, czułym gestem. Roman, który był pewien, że dozna ogromnej ulgi, gdy wreszcie będzie mógł oddać niemowlę komukolwiek, został zaskoczony. Dlaczego miał wrażenie, że jego ręce są dziwnie, nieprzyjemnie puste? Dlaczego nagle poczuł się osamotniony?

To było kuriozalne. Życie zamierzał spędzić sam, więc, rzecz oczywista, nie planował mieć dzieci. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek rozważał taki scenariusz. Dzieci - to nie była jego bajka, koniec, kropka. Małżeństwo z Celeste, na szczęście, takiej opcji w ogóle nie zakładało; w przeciwnym wypadku nigdy by się na nie nie zdecydował. Dlaczego więc teraz, nagle, pojawiło się dręczące poczucie braku, a nawet - niespełnienia? Czy człowiek nie po to osiągał dorosłość, by móc ofiarować ją dziecku? Był dobrze ustawiony, bogaty, i cieszył się z tego. Ale szczęśliwy byłby dopiero wówczas, gdyby mógł swój sukces z kimś dzielić. Gdyby mógł wziąć kogoś za rękę i poprowadzić przez życie, otoczyć opieką, ofiarować miłość, całą miłość, aż do śmierci.

- Mam prezent dla Nadii - powiedział szybko, żeby przerwać ciszę, uciec przed niespodziewanym atakiem zupełnie zaskakujących myśli. - Proszę. - Sięgnął do kieszeni, wyjął nieduże pudełeczko z białego aksamitu.

- Nie teraz. - Libby powstrzymała go gestem. - Wielkie dzięki, ale na prezenty przyjdzie czas po nabożeństwie. Urządzamy małe przyjęcie dla przyjaciół. I rodziny.

- Nie wiem, czy będę mógł... - zaczął odruchowo. Spotkanie z bratem było wystarczającym przeżyciem, a nabożeństwo

w cerkwi na pewno wystawi na poważną próbę jego cierpliwość.

- Oczywiście, że będziesz mógł - uciął Danil ostro. - Ani mi się waży znowu zniknąć. Przyjeżdża Nikołaj, Sev specjalnie wraca z podróży poślubnej. Już się umówiliśmy, że wieczorem wyskoczymy we trzech na jacht Nikołaja. Z tobą będzie komplet, jak za dawnych lat.

Roman nie odpowiedział.

Nikołaj, Sev, Danil i on - czterech chłopców, których los rzucił w ponure miejsce, jakim był rosyjski sierociniec. Kiedyś razem kopali szmaciankę na szarym podwórku, otoczonym nie mniej szarym, wysokim murem. Jak to się stało, że dziś wszyscy czterej byli obywatelami świata, każdy z nich odnalazł drogę do sukcesu i dużych pieniędzy? Statystycznie było to absolutnie niemożliwe - kariera i bogactwo nie stanowiły typowego przeznaczenia wychowanków domu dziecka. A jednak oni czterej dokonali rzeczy niemożliwej. Może właśnie dlatego tak bardzo zaprzyjaźnili się w dzieciństwie, że każdemu z nich pisany był niezwykle los? Ciekawe, pomyślał Roman, czy ich dawna przyjaźń, tak silna, gdy byli biedakami, mogłaby odżyć dzisiaj, gdy mieli niemal wszystko? Czy mieliby jeszcze o czym ze sobą rozmawiać? Wolałby nie przekonać się, że jest inaczej...

- Ach, byłbym zapomniał - Danil podał żonie córeczkę, która zaczęła właśnie głośno domagać się drugiego śniadania. - Jeśli mówimy o starych znajomych, na chrzest zaprosiliśmy też Anię Iliuszyn. Pamiętasz ją? Córka kucharki Katii, taka chudziutka dziewczynka z warkoczykami, która bez przerwy tańcowała... Wyobraź sobie, że została słynną baletnicą! Jakiś czas temu, zupełnym przypadkiem, trafiliśmy na przedstawienie, w którym grała główną rolę, i oczywiście okazało się, że moja żona ją zna. Świat naprawdę jest mały.

- Ania Iliuszyn? - Roman zmarszczył brwi. - Tak, chyba ją pamiętam. Jak przez mgłę.

W tym momencie zadzwoniono do drzwi, Danil otworzył pracownikom firmy cateringowej i rozpoczęła się szalona krzątania.

- Nie będę przeszkadzał. - Roman ruszył do wyjścia. - Widzi-

my się w cerkwi.

- Niech ci tylko nie strzeli do głowy, żeby zdezerterować. - Brat zmierzył go groźnym spojrzeniem.

- Nie ma strachu, stary - rzucił przez ramię. - Będę na posterunku.

Skinął głową zdumionemu portierowi i wyszedł na ulicę, w blask dnia. Zrezygnował z wezwania taksówki; słońce przepięknie świeciło, nabożeństwo zaczynało się dopiero za godzinę, a do cerkwi nie było daleko. Miał ochotę się przespacerować. Ruszył rażno przed siebie i dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że pogwizduje pod nosem jakąś skoczną, rosyjską melodię. Nie pamiętał, kiedy ostatnio było mu tak lekko na duszy.

Och, wciąż pamiętał gorzkie, raniące słowa, które Katia pewnego dnia wykrzyczała mu w twarz. „Beznadziejny z siebie przypadek, wiesz, mój chłopcze?! Prawdziwy odpad atomowy, tacy jak ty tylko obciążają system. Żadna rodzina cię nie zechce, tego jestem więcej niż pewna”. Cóż, wyglądało na to, że sroga Katia jednak się myliła. Istniała rodzina, która, wbrew jego głęboko skrywanym obawom, najwyraźniej w świecie go chciała. Była to jego własna rodzina. Gdyby mógł, zagrałby teraz Katii na nosie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Cerkiew Świętej Zofii w Londynie nie wyglądała tak okazale jak świątynie w Sankt Petersburgu, których ogromne banie, lśniące prawdziwym, wysokokaratowym złotem, wpisują się charakterystycznymi, kolistymi liniami w panoramę miasta. Ale i tutaj skromna kopuła znajomym kształtem cieszy oko stęsknionych za krajem emigrantów, wędrowców i tułaczy.

Ania wręczyła kierowcy banknot i, nie czekając na wydanie reszty, wysiadła z taksówki. Zatrzymała się na skraju chodnika i wysupłała z torby ciemnozieloną, haftowaną chustę. Tradycja chciała, żeby w cerkwi kobiety zasłaniały włosy i ramiona, więc zamotała na głowie cienki, połyskliwy materiał i zasłoniła dekolt skromnej sukienki w kolorze gołębiego błękitu. Spod rąbka chusty popatrzyła na tłumek czekający przed drzwiami cerkwi.

Wystarczył jeden rzut oka, by zauważyła, że wśród zebranych nie ma Romana.

Gwałtowny przypływ złości sprawił, że łzy zapiekły pod powiekami i przesłoniły mgłą jej wzrok. Przygryzła wargę i zamrugała, mówiąc sobie twardo, że nie będzie płakać. Miała makijaż. Skromny, owszem, ale tak czy owak nie mogła sobie pozwolić na to, żeby się rozmazał. Była stuprocentową Rosjanką i jako taka w cerkwi mogła pojawić się tylko nienagannie elegancka. Rzęsy wytuszowane, dyskretny cień na powiekach, usta muśnięte szminką. Jedwabna chustka na głowie, sukienka z marszczoną spódnicą do kolan, która zakrywała tyle, ile wymagał obyczaj, podkreślając jednocześnie jej smukłą, dziewczęcą sylwetkę. Pantofelki na obcasie, w tym samym odcieniu zieleni co chusta. Tylko torba, czarna i wielka jak poduszkowiec, wносиła dysonans w harmonijną całość. Ale z torbą Ania rozstać się nie umiała. Teraz zacisnęła palce na skórzanym pasku i zmusiła się, żeby ruszyć ku zgromadzonemu.

Goście dopisali. Nowożeńcy, Sev i Naomi, wrócili z podróży

poślubnej, żeby wziąć udział w uroczystości. Nikolaś specjalnie zmienił plany, choć już dawno miał wyruszyć na morze. Była nawet Rachel, która jeszcze poprzedniego wieczora obawiała się, że zatrzymają ją rodzinne sprawy. Rodzina Libby stawiała się w komplecie, wszyscy uroczyści i przejęci, może tym bardziej dlatego, że w cerkwi byli po raz pierwszy.

Ania podeszła prosto do Rachel, rudowłosej piękności, która do niedawna była zawodową tancerką, a ostatnio zaczęła prowadzić bloga na temat baletu.

- Witaj. - Żeby ukryć treść, uśmiechnęła się szerzej, niż to miała w zwyczaju. Nigdy nie była duszą towarzystwa. - Czytałam twoje teksty, są świetne. Uważam, że robisz naprawdę dobrą robotę.

- Dzięki. - Rachel była nieco zdumiona nagłą wylewnością Ani, która w środowisku zawodowym uchodziła za osobę zimną i zamkniętą w sobie. - Twoja opinia jest dla mnie niezmiernie ważna...

- Ania! - Naomi podbiegła i bezceremonialnie wzięła ją w objęcia. - Cudownie, że mogłaś przyjechać. Wiesz, że wybieramy się do Paryża, żeby zobaczyć cię na scenie?

- Dziewczyny, to wspaniale! - Ania, ku swojemu zdumieniu, poczuła przyływ autentycznej radości.

Dotąd nie miała przyjaciółek i ten stan rzeczy zupełnie jej odpowiadał; nigdy nie tęskniła za babską przyjaźnią, pogaduszki uważała za stratę czasu. Czasu zaś zawsze miała za mało, z każdym upływającym miesiącem coraz mniej. Treningi były coraz bardziej wymagające, taniec pochłaniał wszystko, czas, siły, uwagę. Kiedy wieczorami wychodziła ze studia, zostawało jej zaledwie kilka godzin na odpoczynek i sen. Kilka godzin, podczas których nie opuszczał jej uparty, ćmiący ból mięśni i dręczące myśli. W ostatnim tygodniu tęsknota za Romanem stała się nie do zniesienia. Może dlatego Ania poczuła nagle, że potrzebuje zwyczajnego, ludzkiego ciepła i serdeczności. Nie wiedziała, jak ani kiedy to się stało, ale Rachel, Naomi i Libby stały się jej bliskie.

- Może chciałbyście przyjechać na premierę? Załatwię wam najlepsze miejsca.

- Bosko! - Rachel podskoczyła jak mała dziewczynka, zaklaskała w ręce. W następnej chwili znieruchomiała, wbijając wzrok w jakiś punkt za plecami swojej rozmówczyni. - Zaraz, zaraz... - powiedziała powoli, marszcząc swoje szerokie, regularne brwi. - Danil z Libby i małą Nadią wysiadają właśnie z samochodu, więc kim jest tamten facet? O mój Boże! - Uniosła dłonie do ust, jak gdyby chciała stłumić krzyk. - To musi być Roman, zaginiony bliźniak!

Ania obejrzała się przez ramię. Tak, to był Roman. Nadchodził swobodnym krokiem - ciemna, wysoka sylwetka na zalanej słońcem ulicy. Wystarczyło jedno spojrzenie, by jego widok dźgnął ją w samo serce, jak ostrze sztyletu.

Roman. Jest. Nareszcie.

Radość była tak nagła, tak intensywna, że aż bolesna. I wystarczyła sekunda, żeby przerodziła się w bunt. Czy naprawdę miała pozwolić, żeby ten mężczyzna był słońcem jej oczu i władcą jej serca? Niedoczekanie. Nie zamierzała skazywać się na jego łaskę i niełaskę. Obróciła się do niego tyłem.

- Owszem, to Roman - uśmiechnęła się chłodno. - Ale nie powiedziałabym, że był zaginiony. Po prostu spokojnie mieszkał sobie w Paryżu.

- Co takiego?! - Libby zacisnęła dłonie na rączce samochodowego fotelika, w którym spała wystrojona w białą sukienkę Nadia. - Wiedziałaś, gdzie jest Roman, i nie powiedziałaś Danilowi ani słowa?

Ania aż podskoczyła. Nie zauważyła podchodzącej Libby, nie wiedziała, że żona Danila słyszy jej słowa. Teraz było za późno na odwrót.

- Słyszałyście może o rosyjskich żonach z ogłoszenia? Taką dziewczynę można sobie zamówić, przyjeżdża i staje na ślubnym kobiercu. No więc Roman był rosyjskim mężem z ogłoszenia. Poślubił jakąś bogatą babkę...

- Roman jest żonaty...? - Naomi otworzyła szeroko oczy.

- Z tego, co wiem, to już nie - powiedziała Ania. - Owdowiał rok temu.

Rozmowa urwała się, cztery kobiety patrzyły teraz na czterech mężczyzn, którzy witali się uściskiem dłoni. Sev, Nikołaj,

Danil i Roman znów byli razem. Tak jak przed laty. Ania zamrugała, znów czując, że pod powiekami wzbierają zdradzieckie łzy. Tak dobrze pamiętała czterech chudych wyrostków ubranych w koszule z grubego płótna i drelichowe spodnie, którzy zawsze byli skorzy do śmiechu, jakby na przekór smutkowi i szarzyźnie, jaka ich otaczała. Czas pokazał, że mieli rację, śmiejąc się losowi w twarz. Dziś byli królami życia.

Rozdzwoniły się dzwony, śpiewnym, harmonijnym wielogłosem, i wszyscy ruszyli do świątyni. Libby dołączyła do męża, Sev podał ramię Naomi, Roman i Nikołaj podążyli za nimi. Wreszcie poszła i Ania, z coraz większym rozżaleniem wpatrując się w plecy Romana. Dlaczego się z nią nie przywitał? Dlaczego choćby z daleka nie skinął jej głową? Dlaczego, odkąd się pojawił przed cerkwią, uparcie unikał jej wzrokiem?

Usiadła w pustej ławce, a po chwili na miejsce obok wsunęła się Rachel.

- Jestem w cerkwi po raz pierwszy - przyznała się szeptem. - Przy tobie będę się czuła o wiele pewniej. Na pewno wiesz, co trzeba robić. I kiedy.

- Och, to nic trudnego - uśmiechnęła się Ania. - Żegnasz się trzykrotnie, trzema palcami. I robisz to... niemal bez przerwy.

Nie uważała się za osobę specjalnie religijną, ale prawosławną liturgię szczerze kochała. Czyż mogło być coś piękniejszego i bardziej przejmującego niż te hymny, wyśpiewywane przez głębokie i poważne, męskie głosy, które opowiadały o Bogu dawnym, niezrozumiałym językiem? Każdy gest był tu symboliczny, każdy przedmiot był czymś więcej niż zwykłą rzeczą. A cała liturgia, zawila i niespiesznie uroczysta, pozwalała przeżyć chwilę kontemplacji tajemnicy absolutu.

Ceremonia chrztu była szczególnie piękna, tak bardzo, że Ania czuła, jak bolesny zachwyt ściska jej serce. Kapłan wziął dziecko na ręce i trzykrotnie uniósł je w górę, przed złotymi wrotami ikonostasu.

Dziecko...

Ania wiedziała, że nigdy nie będzie stać na miejscu Libby, i patrzeć, jak kapłan modli się o Boże błogosławieństwo dla jej własnego dziecka. Bo nigdy nie będzie mieć dziecka.

Cóż, taka była cena, którą trzeba było zapłacić za lata dra-końskiej diety i codzienne, intensywne treningi. Była silna, sprawna i wytrzymała. Jej żołądek potrafił znieść ciągle uczucie głodu, a jej kości, mięśnie i ścięgna – podołać wysiłkowi, do jakiego je zmuszała. Kiedy zaczęła nieregularnie miesiączkować, w ogóle się tym nie przejęła. A potem okres zaniknął. Jej organizm, żeby wytrzymać narzucone tempo, poświęcił coś, z czego świadomie nigdy by nie zrezygnowała. Płodność.

Tłumaczyła sobie, że na macierzyństwo i tak nie miałyby czasu. Zamierzała tańczyć tak długo, jak tylko pozwolą jej na to siły. Dla baletnic moment zejścia ze sceny i tak zawsze przychodził za wcześnie. Tłumaczyła sobie, że byłaby na pewno fatalną matką i lepiej, jeśli pozostanie bezdzietna. Ale w takiej chwili jak ta, rozumiała, że wszystkie te argumenty są po prostu śmieszne. Była bezpłodna. Okaleczona. Odarta z marzeń.

Gdyby Roman wiedział, że czasem, w chwilach słabości, wyobrażała sobie, że oni dwoje mogliby stworzyć rodzinę, tak szczęśliwą jak rodzina Danila, pewnie parsknęłyby cynicznym śmiechem. I słusznie, bo było to głupie, nierealne marzenie. Nigdy nie będą mieli razem dziecka.

Popatrzyła na Romana, który siedział po przeciwnej stronie nawy. Ten mężczyzna... odszedł od niej, przez lata nie dał znaku życia, wreszcie ożenił się z inną. A jednak, jeśli mogłaby mieć dziecko, chciałaby tylko z nim. Z nikim innym. Splotła ramiona na piersi, mocno, jakby mogła w ten sposób ochronić się przed samotnością i bólem serca. I wtedy właśnie, dokładnie w tym momencie, on obrócił się ku niej i ich spojrzenia się spotkały. A Ania pojęła, z niezachwianą pewnością, której nie zdołałaby racjonalnie wytłumaczyć, że on skrycie marzy dokładnie o tym samym, co ona.

Odwróciła wzrok.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W ogromnym salonie londyńskiego mieszkania państwa Zwieriewów długi stół uginał się od najróżniejszych przekąsek, a do smukłych kieliszków nalewano szampana. Goście napływali powoli, wypełniając słoneczne wnętrze radosnym gwarem. Rozpromieniona Libby trzymała córeczkę w ramionach, a Danil otaczał plecy żony opiekuńczym gestem.

- Przyjmijcie ode mnie ten drobiazg. Dla Nadii - powiedział Roman nieco sztywno, podając Libby aksamitne pudełeczko.

Ania sięgnęła po szklanę lemoniady z listkami świeżej mięty i, udając, że gasi pragnienie, ukradkiem obserwowała scenę. Zobaczyła błysk szczerego zachwytu w oczach Libby. Młoda mama spoważniała nagle, popatrzyła na szwagra z uroczystą powagą. Powiedziała coś do niego, ale on tylko skinął głową i odszedł. Ania odczekała jeszcze chwilę, a kiedy Roman dotarł do stołu z przekąskami, a Danil zajął się rozmową z jednym z gości, szybko podeszła do Libby.

- Pokażesz mi, co Nadia dostała od Romana? - wyszeptała. - Umieram z ciekawości.

Libby spojrzała na nią, przeniosła wzrok na szwagra, który właśnie raczył się sałatką z krewetek, i uśmiechnęła się, unosząc brwi. Potem podała Ani pudełeczko, a ta otworzyła je i aż westchnęła z wrażenia. Niewielki, prawosławny krzyż miał tradycyjną formę i nie byłoby w nim niczego niezwykłego, gdyby nie to, że wykonano go z białego złota i platyny, a klasyczny, grawerowany ornament zdołałby wprawione w cenny kruszec brylanty. Ania zważyła krzyż w dłoni, powiodła palcami po gładkim, chłodnym metalu. Na odwrocie nie było ozdób, tylko wygrawerowany cyrylicą napis *prochnost'*. Siła.

Cały Roman, pomyślała Ania. Lapidarny i enigmatyczny. Co chciał przekazać siostrzenicy, gdy kazał wypisać ten jeden wyraz, raczej nietypowy na chrzcielnej pamiątce? Może miał na

myśli symbolikę krzyża, moc miłości, ofiary i przebaczenia? A może po prostu siłę, jaką dawały człowiekowi pieniądze? Ten krzyż nie był prostym przedmiotem kultu. Był też lokatą kapitału. Jeśli Nadia znajdzie się kiedykolwiek w ciężkiej sytuacji, zawsze będzie miała jeszcze tego asa w rękawie. Ania nie znała się dobrze na wycenie złota i drogich kamieni, ale przypuszczała, że wartość tego klejnotu opiewała na sumę sześciocyfrową. Piękny gest, przyznała w duchu, zwłaszcza ze strony kogoś, kto sam zaznał biedy. Nie chciała się zastanawiać, skąd Roman mógł wytrzasnąć tak duże pieniądze, bo oczami duszy od razu widziała Celeste. A myśl, że mężczyzna, którego kochała, jest łowcą posagów, nie była jej w smak.

Powiedziała coś, co należało powiedzieć, uśmiechnęła się i odeszła w tłum gości. Wzięła z tacy kilka liści cykorii i dwa plasterki chudej, wędzonej szynki. Tego dnia jadła już owsiankę na śniadanie i jeśli chciała zachować prawo do kanapki na kolację, musiała się zadowolić tą skromną przekąską. Co z tego, że z głodu burczało jej w brzuchu? Głód można było oszukać. Wystarczyło wypić więcej wody...

Pochłonęła cykorię i szynkę, wypła kolejną szklanekę lemoniady i powiedziała sobie, że jest syta. Ale właśnie wtedy jej spojrzenie padło na szklaną salaterkę pełną śliwek w czekoladzie i poczuła, że umrze, że zginie na miejscu, jeśli natychmiast nie wbije zębów w jedną z nich. Czy ludzkość wymyśliła coś genialniejszego niż śliwki w czekoladzie? Chyba nie. Aksamitna, mocna słodycz polewy, która rozplýwała się w ustach, żeby ustąpić miejsca rześkiej cierpkości owocu, który krył się w jej wnętrzu... Ania poczuła, że nie potrafi się oprzeć pokusie. Sięgnęła do salaterki i zacisnęła palce na szeleszczącym papierku, w którym kryła się czekoladka. Och, nie musiała przecież jeść jej teraz. Mogła odłożyć tę przyjemność na później... ukradkowym ruchem schowała czekoladkę do torby. Dlaczego miałyby się ograniczyć tylko do jednej śliwki, pomyślała w następnej chwili, patrząc na stos ulubionych słodyczy. Nikt nie zbiednieje od tego, że weźmie jeszcze kilka, a ona będzie mogła rozkoszować się nimi podczas antraktów i wspominać to popołudnie spędzone wśród ludzi, których zaczynała szczerze lubić. Zanurzyła

dłoń w salaterce, nabrała pełną garść łakoci i szybko wrzuciła je do torby. W następnej sekundzie poczuła, że włoski na jej karku stają na baczność. Ktoś ją obserwował. Rozejrzała się gorączkowo, czując, jak na jej policzki wypływa palący rumieniec wstydu. No tak. Naomi nie zdążyła odwrócić wzroku; Ania dostrzegła w jej oczach zdumienie, niedowierzanie i cień rozbawienia. Najprawdopodobniej Naomi po raz pierwszy widziała kogoś, kto na przyjęciu kradł jedzenie. Śmiertelnie zażenowana i zupełnie bezradna Ania zacisnęła palce na pasku torebki. Co miała zrobić? Tłumaczyć się nie chciała, a udawać, że nic się nie stało, zwyczajnie nie potrafiła. Wciąż czerwona na twarzy, niemal oślepiona łzami wstydu i frustracji, ruszyła przed siebie, by schronić się za najbliższymi drzwiami. Żałowała, że nie może zapaść się pod ziemię.

- Spójrz - Naomi oparła się na ramieniu męża. - Ania Iliuszyn podkrada sobie cukierki. Ciekawe, dlaczego...

Bo przez całe dzieciństwo musiała tak robić. Zawsze jadła ukradkiem, zawsze w ukryciu - mógł odpowiedzieć Roman, ale zmilczał. Bez słowa ruszył za Anią. Widział popłoch w jej oczach, kiedy uciekała, kuląc ramiona i wbijając wzrok w ziemię, jak ktoś, kogo przyłapano na przestępstwie. Nie wiedział, czy zdawała sobie sprawę z tego, że drzwi, których dopadła, prowadzą na taras. Nie miał pojęcia, co może strzelić jej do głowy, kiedy była w takim stanie. Czując coraz większy niepokój, przyspieszył kroku.

Wyszedł na taras i poczuł lodowaty dreszcz przerażenia, kiedy nie dostrzegł Anii. Jak lunatyk, na sztywnych nogach, podszedł do niewysokiej balustrady, za którą ziała kilkudziesięciometrowa przepaść. To był nonsens, oczywiście, ale ludziom zdarzało się robić drastyczne rzeczy z naprawdę błahych powodów... a on nie mógł jej stracić. Po prostu nie mógł. Kiedy patrzył na nią w cerkwi, taką śliczną i skromną, choć przecież była światowej sławy artystką i mogłaby zadzierać nosa, wreszcie dodał dwa do dwóch. Owszem, przed laty musiał od niej odejść. Był nikiem, a ona miała prawdziwy talent i walczyła z całym światem o swoje miejsce w świetle. Nie mógł jej skazywać na wegetację u swojego boku. Ale teraz, po latach, sytuacja wyglą-

dała zupełnie inaczej. Oboje byli niezależni. Oboje robili w życiu to, co kochali. Dlaczego nie mieliby razem cieszyć się tym, co osiągnęli? Od dnia, w którym kupił bilet na *Ognistego ptaka* i zobaczył ją na scenie, a potem odwiedził w garderobie, nie bardzo potrafił sobie wyobrazić, że bez Ani mógłby jeszcze w ogóle cieszyć się czymkolwiek. Odkąd pojawiła się na powrót w jego życiu, gotów był zrobić wszystko, żeby ją zatrzymać.

Usłyszał dobiegające gdzieś z boku ciche westchnienie i aż osłabł z ulgi, kiedy zobaczył ją, skuloną w najdalszym kącie tarasu, niewidoczną z okien salonu. Siedziała na posadzce, obejmując ramionami podkurczone kolana. Dopadł ją jednym susem i niewiele myśląc, porwał w objęcia. Wbrew jego obawom, nie stawiała oporu.

- Nie wiem, co mnie napadło - jęknęła, wtulając twarz w jego pierś. - O mój Boże, jaki wstyd. Ja tego chyba nie przeżyję.

- Nie przesadzaj. - Poglądził ją po plecach i poczuł, że jej szczuplutkie ciało drży od płaczu. - Przecież nic się nie stało. Śmieję się z tego.

- Widzieli mnie! - wyrzuciła z siebie. - Widzieli, jak ukradkiem wpycham do torby pełną garść czekoladek.

- No i co z tego? - Roman odsunął ją na odległość ramion, zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Powinni się cieszyć, że ci smakują. A zresztą, zaraz pójdę, ostentacyjnie zaiwanię ze stołu butlę szampana i schowam za pazuchę. Jeśli ktoś chce się gorszyć, będzie miał czym. Niech gadają do woli, jakie z nas dzikusy i chamidła.

Ania parsknęła nieco histerycznym śmiechem.

- Mów co chcesz, ale ja naprawdę czuję się jak dzikuska - przygryzła wargę. - Właściwie zawsze jestem spięta, kiedy muszę jeść przy ludziach. Wolę być sama...

- Myślisz, że mnie to dziwi? Dobrze pamiętam, że posiłki musiałaś jeść zamknięta w spiżarni.

- A kiedy próbowałam zwędzić coś ze stołu w jadalni...

- ...Katia zawsze cię przyłapywała - wpadł jej w słowo. - Jeśli była w dobrym humorze, kończyło się na kazaniu. A kiedy była w gorszym, dostawałaś po rękach. Albo po twarzy.

- Skąd wiesz? - Otworzyła szeroko oczy. Za każdym razem,

kiedy wracała pamięcią do czasów dzieciństwa, te wspomnienia sprawiały jej ból. Teraz czuła się inaczej – jakby Roman wziął ją za rękę i poprowadził w jej własną przeszłość. Przy nim nie bała się niczego.

- Skąd wiem? – uśmiechnął się do wspomnień. – W *Dietskim Domu* nie mieliśmy telewizji. Pewnie dlatego cały czas gapiłem się na ciebie.

- A ja na ciebie – szepnęła, spuszczać wzrok.

- Wiesz – wziął ją na ręce, podszedł do małej, drewnianej ławeczki, która stała na uboczu, w cieniu rosnącego w donicy, cytrynowego drzewka. Ania nie zaprotestowała, gdy posadził ją sobie na kolanach. Było jej dobrze. Tak dobrze, że chciała, by ta chwila trwała wiecznie. – Wiesz – podjął – kiedy byłem mały, bardzo ci zazdrościłem. Zresztą nie tylko ja. Myśleliśmy, że jesteś niemalże bogaczką, bo masz prawdziwą, własną mamę. Dopiero potem zrozumiałem, że byłaś biedna tak jak my, a może nawet bardziej. My przynajmniej mieliśmy trzy posiłki dziennie i nie chodziliśmy spać z pustym żołądkiem.

- Ja też wam zazdrościłam. Mogliście usiąść przy stole nad pełną miską, a nawet dostać dokładkę... Mama dbała o to, żebym codziennie jadła, ale i tak zawsze chodziłam głodna. – Zamilkła na chwilę, umościła się wygodniej w jego objęciach. – Mimo wszystko to były dobre czasy.

- Najlepsze – potwierdził, całując ją w czubek głowy.

- Naprawdę tak myślisz? – Oparta o szeroki tors Romana, z przyjemnością wsłuchiwała się w głębokie, spokojne uderzenia jego serca. – Nie sądziłam, że masz jakiegokolwiek dobre wspomnienia z *Dietskiego Domu*.

Sama miała ich całkiem sporo. Kiedy wszyscy – ona, Roman, Danil, Sev i Nikołaj – byli jeszcze dziećmi udawało jej się czasem wymknąć z kuchni i dołączyć do zabawy, czy to na podwórku, czy w świetlicy. Ależ się wtedy śmiali! Danil i Roman prężyli chude bicepsy, markowali bokerskie ciosy, a ona popisывała się przed nimi. Och, nie wiedziała jeszcze, czy gdy dorośnie, zostanie tancerką, czy cyrkową akrobatką, ale potrafiła już zrobić idealną gwiazdę, szpagat, a także przejść parę kroków na rękach! Lata mijały, beztronski było coraz mniej. Ale wciąż był Ro-

man i to cudowne uczucie łączącej ich więzi, potężniejszej niż wszelkie przeciwności, zaskakującej, choć jednocześnie tak naturalnej jak oddech, uderzenia serca, jak samo życie. Tak, to były naprawdę piękne czasy.

- Mam dużo dobrych wspomnień. O przyjaciółach, o bracie... i o tobie. Pamiętasz epidemię grypy?

- Oj pamiętam, pamiętam. - Ania doskonale wiedziała, że mówił o tym wyjątkowym dniu, kiedy pozwolono jej zanieść mu kolację do pokoju. Przez tę chwilę, kiedy byli sami, nie zamienili ani słowa, nie dotknęli się nawet. A jednak... kiedy Ania wchodziła do pokoju Romana, była niewinną, zakochaną dziewczyną. Gdy wychodziła, była kobietą. Jego kobietą. Pozwoliła, żeby rozebrał ją wzrokiem, niemal czuła zuchwałą pieśczętę jego oczu na swoich ustach, na piersiach osłoniętych szorstkim materiałem płóciennej bluzki, i niżej, tam, gdzie pod spódnicą jej kobiecość budziła się, zaczynała pulsować gorącą tęsknotą za zakazaną, nieodkrytą rozkoszą... - Tak bardzo chciałam cię wtedy dotknąć, pocałować - przyznała.

- Ja chciałem zedrzeć z ciebie tę grzeczną bluzeczkę, zobaczyć twoje piersi... i więcej - powiedział głucho.

- Tęskniłeś za mną przez te wszystkie lata?

- Po co pytasz? - Objął ją mocniej. - Przecież wiesz.

Wiedziała. Wiedziała też, że jeśli teraz uniesie ku niemu twarz, Roman ją pocałuje.

Oplotła jego kark ramionami, rozchyliła usta i spojrzała na niego wyzywająco. Była głodna, a na tego mężczyznę miała nawet większą ochotę niż na śliwki w czekoladzie. Pocałunek był mocny i upojnie słodki. Ich wargi odnajdywały się i pieściły, oddechy splatały się, ciała lgnęły do siebie, spragnione jeszcze większej bliskości. Nie dzieliło ich już nic. Prawie nic...

- Nie będziemy chyba się kochać tutaj, na tarasie, podczas chrzcin twojej bratanicy? - wyszeptała Ania, tuląc się do szerokiego torsu Romana.

- Nie...? Pomyśl, jak wspaniałego tematu do plotek dostarczylibyśmy wszystkim gościom.

- Owszem, to byłoby coś - zachichotała.

- Wynająłem pokój w hotelu - musnął ustami płatek jej ucha.

- Co prawda Danil namówił mnie, żebym pod wieczór wyskoczył z chłopakami na jacht Nikołaja, ale noc może być nasza. Chcesz? - Pocałował ją lekko, sugestywnie. - Powiedz, że chcesz.

Chciała. Oczywiście, że chciała...

- Nie mogę. - Pokręciła głową, zacisnęła usta. - Dziś wieczorem lecę do Paryża, jutro nasz zespół zaczyna próby przed francuską premierą *Ognistego ptaka*. Zmienia się reżyser, choreografia będzie zupełnie nowa. Czeka mnie mnóstwo pracy.

- Ależ możesz - przekonywał. - Dziś w nocy prób chyba nie masz? Polecimy do Paryża razem, jeszcze tego wieczora, jeżeli tak wolisz. Zaraz prześlę wiadomość mojej asystentce, żeby wyczarterowała jakiś samolot, zabiorę cię do domu...

- Roman, kim ty właściwie jesteś? - Ania zdecydowanie uwolniła się z jego objęć, wstała, oparła się o balustradę tarasu. - Stać cię, żeby ofiarować dwutygodniowej bratanicy platynowy krzyż z brylantami i wyczarterować samolot, gdy masz taki kaprys. Mam wrażenie, że stałeś się kimś, kogo zupełnie nie znam.

- Wszystko ci opowiem. - Podniósł się i podszedł do Ani.

Podmuchy ciepłego wiatru unosiły pasma jej włosów, ciemnych i lśniących na tle jasnej, delikatnej skóry. Promienie słońca sprawiały, że jej oczy lśniły jasną, wiosenną zielenią. W szarobłękitnej sukience wyglądała jak marzenie... jak jego własne marzenie, które zbyt długo ignorował.

- Nie wiem, czy będę w stanie tego słuchać. - Odwróciła wzrok. - Twoja Celeste zostawiła ci pieniądze, tak?

- Nie. - Poczul, że narasta w nim złość. Tę sprawę należało wyjaśnić raz na zawsze. - Celeste dała mi coś innego. Kiedy opuszczałem legię, byłem już człowiekiem zamożnym. Wzbogaciłem się na obrocie papierami wartościowymi, ale wciąż brakowało mi obycia. Najpierw siedziałem zamknięty w sierocińcu, potem w koszarach, albo wysyłano mnie na misję do jakiejś dzicy. Żadne z tych miejsc nie było idealne, by poznać zasady *savoir vivre*'u. Potrzebowałem intensywnej socjalizacji. Celeste, krótko mówiąc, nauczyła mnie dobrych manier. Jej pieniądze nie interesowały mnie ani trochę.

- Ale jej łóżko, owszem. - Twarz Ani wykrzywił grymas.

- Byliśmy małżeństwem - zdecydował, że postawi na szczerość. - Owszem, takim z rozsądku i z krótką datą ważności, ale jednak małżeństwem. Celeste wywiązywała się ze swojej części umowy, więc i ja nie uchylałem się od obowiązków.

- Kochałeś ją? - rzuciła, siląc się na obojętność. Bezskutecznie. Głos się jej załamał, zdławiony łzami.

- Polubiłem ją - przyznał. Ania zasługiwała na to, żeby usłyszeć prawdę. - Gdyby nie to, nigdy bym się nie zgodził na ślub, nawet z rozsądku. A potem pojawiła się między nami zażyłość. Tak, chyba można powiedzieć, że w jakiś sposób ją kochałem.

Ania chciała coś powiedzieć, ale nie zdołała. Odwróciła się gwałtownie, zacisnęła powieki. Nie mogła się rozplakać. Nie teraz, nie przed nim...

- Co byś wolała usłyszeć? - Otoczył ramieniem jej plecy, a kiedy się wzdrygnęła, mocniej przygarnął ją do siebie. - Że cynicznie wykorzystywałem tę kobietę, która chciała po prostu zaznać w życiu trochę bliskości, a ponieważ los jej tego poskąpił, wzięła sprawy w swoje ręce? Że gardziłem nią, ale tkwiłem przy niej dla pieniędzy? Czy też, że byłem uczciwy wobec niej i samego siebie, i że potrafiłem dotrzymać danego słowa? Celeste to zamknięty rozdział. I nie ma w nim nic, czego musiałbym się wstydzić.

- Nie wiem. - Pokręciła głową, gwałtownie, nieco histerycznie. - Może masz rację. Na pewno masz rację. Ale ja nie mogę... nie potrafię spokojnie rozmawiać o Celeste. Myśl, że byłeś z inną kobietą - urwała, przygryzła wargę. - To dla mnie za trudne.

- Nie mów, że w twoim życiu nie było mężczyzn - rzucił swobodnie, ale kiedy nie odpowiedziała, zrozumiał. I poczuł, jak wypełnia go cicha, gorąca, szalona radość. W jej życiu nie było nikogo, tylko on. Zamierzał dopilnować, żeby tak zostało.

- Ania, musimy poważnie porozmawiać. - Obrócił ją ku sobie. - Jesteśmy sobie bliscy, temu chyba nie zaprzeczysz.

Milczała, wpatrzona w niego wielkimi, pociemniałymi oczami. Była tuż obok, na wyciągnięcie ręki, a jednak w tej chwili wydawała mu się daleka, niedosięga. Żeby do niej dotrzeć, musiał

przejść przez pole minowe, jakim była ta rozmowa. Słowa nigdy nie były jego mocną stroną.

- Będiesz występować w Paryżu, a tak się składa, że tam mieszkam. Nie sądzisz, że to szczęśliwe zrządzenie losu? Moglibyśmy je wykorzystać, nadrobić stracony czas... Spójrz, Danil znalazł miłość, założył rodzinę. Dlaczego my nie mielibyśmy dostać takiej szansy? Wierzę, że na nią zasługujemy. Mój dom będzie twoim domem, jeśli tylko zechcesz. Wiesz przecież, równie dobrze jak ja, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

To było tak, jakby usłyszała nagle, że w totalotka padły jej liczby, wszystkie sześć, co do jednej. Jeszcze zanim umysł do końca przeanalizował zasłyszane informacje, ciało zareagowało potężnym szokiem. Zrobiło jej się gorąco, a może lodowato? Wrażenie było tak silne, że nie potrafiła rozróżnić. Przeszywający dreszcz postawił w stan gotowości każdy nerw jej ciała, i w tej niesamowitej chwili, mocniej niż kiedykolwiek poczuła, że żyje. Mężczyzna, którego nigdy nie przestała kochać, właśnie się jej oświadczył. Albo prawie. W każdym razie zdobył się na deklarację, jakiej w najśmielszych marzeniach nie oczekiwała. Och, oczywiście, że się zgodzi. Zamieszkają razem, tak jak zawsze tego pragnęła. Dadzą sobie rozsądną ilość czasu, żeby wszystko przemyśleć i zaplanować. A potem będą zaręczyny. Ślub...

Gdzieś w głębi mieszkania zapłakało dziecko i nagle piękny sen prysł. Owszem, padły jej liczby, wszystkie sześć, co do jednej. Tylko że... ona tego losu nie kupiła. Nie miała czym za niego zapłacić. Świadomość, że wygrana nigdy nie będzie należała do niej, przyszła nieśpiesznie, bezlitośnie jak zapadająca noc. Ania poczuła, że ogarnia ją potężna fala mdłości. Roman chciał założyć rodzinę. Chciał mieć żonę i dzieci. A ona... ona była bezpłodna. Wybrakowana. Owszem, na scenie mogła się podobać, ale w życiu była chodzącą porażką. Nie mogła dać Romanowi tego, czego pragnął. Nie miała prawa przywiązywać go do siebie, łudzić próżną nadzieją.

Powinna powiedzieć mu, że nie może mieć dzieci. Wiedziała, że powinna... ale nie miała odwagi. Za bardzo się wstydziła. Czyż nie wytknąłby jej, że sama jest sobie winna? I czyż nie

miałby racji?

Wolała, jeszcze raz, schronić się za murem z lodu, który wokół siebie wzniosła. Ze świadomością, że tym razem będzie jego więźniem do końca życia.

- Nie - powiedziała powoli, ze straceńczą determinacją. - Żałuję, ale nic z tego nie będzie. Muszę skupić się na tańcu, nie mogę sobie pozwolić na żadne rozproszenia.

- Ania... - zaczął, ale mu przerwała.

- Jeżeli naprawdę ci na mnie zależy, nie nalegaj. Cóż, nie zaprzeczam, że łączy nas namiętność, ale to za mało, by zbudować poważną relację. Zbyt wiele nas dzieli. Nie wyszłoby nam, Roman. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

- Mylisz się - powiedział z uporem. - Popelniasz błąd.

- Może się mylę - jej głos brzmiał lodowato - ale mam prawo do własnych błędów. Proszę, nie próbuj się ze mną kontaktować, kiedy będę w Paryżu.

- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - wycedził.

- Nie przychodź. Nie dzwoń.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. To ty do mnie zadzwonisz, gdy zmienisz zdanie.

- Żegnaj, Roman. - Odwróciła wzrok.

Właśnie podpaliła jedyny most, który prowadził do wymarzonej krainy szczęścia. Wiedziała, że Roman Zwieriew nie rzuca słów na wiatr.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ania czuła się fatalnie.

Owszem, Paryż był taki jak zawsze – pełen swoistego uroku, buzujący optymistyczną, twórczą energią. Nowy reżyser okazał się człowiekiem nie tylko piekielnie zdolnym, ale i nadspodziewanie sympatycznym. Zespół był zachwycony, Ania też. Od razu dostrzegła ogromny potencjał w projekcie nowej choreografii i z niecierpliwością czekała na moment, kiedy będzie mogła przełożyć teorię na język gestów, nadać mu swój własny, charakterystyczny styl. Ale kiedy ta chwila nadeszła, nie przyniosła niczego poza rozczarowaniem. Coś było nie tak. Bardzo nie tak. Ania miała wrażenie, że jej ciało jest jakieś inne – nadmiernie wrażliwe, dziwnie odrętwiałe, niepokojąco słabe. Ona, która wyrobiła sobie markę, bo potrafiła bezbłędnie wykonać nawet najtrudniejsze technicznie taneczne układy, bez najmniejszego problemu zapamiętywała i odtwarzała dowolnie długie i zawiłe *pas*, teraz myliła proste kroki. Nie potrafiła się skoncentrować.

– Co się dzieje, Ania? – Kiedy minęły trzy tygodnie, a ona wciąż nie mogła dobrnąć bez błędu do końca próby, choreograf wziął ją na bok, zajrzał w oczy. – Przed nami próby kostiumowe, na deskach opery. Premiera coraz bliżej. Jeżeli jest coś, o czym powinienem wiedzieć, chcę, żebyś mi to powiedziała. Zaraz.

Ania milczała, choreograf mówił dalej. Nie powinna się przejmować, był pewien, że wspólnie znajdą wyjście z sytuacji. Może potrzebowała urlopu? On dobrze wiedział, jak obciążająca jest rola primabaleriny, i że jeśli człowiek wymaga od siebie zbyt wiele, może przyjść załamanie. Ale właśnie na taką okoliczność Ania miała dublerkę, która bardzo solidnie ćwiczyła jej rolę, i była więcej niż gotowa do tego, żeby wyjść na scenę. Jeśli Ania chciała odpocząć, nic nie stało na przeszkodzie...

Proponowano jej przymusowy urlop?! Miała odpocząć, a dublerka była gotowa przejąć jej rolę? Ania poczuła, że grunt

chwieje jej się pod nogami. Dobrze wiedziała, jaka groźba kryła się za kojącymi słowami choreografa. Mogła zostać odstawiona na boczny tor. W małym światku baletu, gdzie wieści rozchodziły się szybko, a zła opinia potrafiła przyczepić się do człowieka jak rzep, w ten właśnie sposób kończyły się kariery. Wystarczyło nawalić raz. Primabalerinie nie wybaczano niedyspozycji, a ona, ku swojemu przerażeniu, czuła się chora. Gdyby potrafiła przewidzieć, że spotkanie, a potem rozstanie z Romanem przeplaci tak ciężkim załamaniem, nie pozwoliłaby mu przekroczyć progu swojej garderoby. To było już ponad trzy tygodnie temu, a kryzys zamiast mijać, wciąż się nasilał. Doszło do tego, że rano z trudem wstawała z łóżka, a na myśl o tym, że czeka ją cały dzień prób, nie czuła dawnej ekscytacji. Stres sprawiał, że męczyły ją mdłości.

- Nonsens. Nic się nie dzieje - uśmiechnęła się dziarsko. - Wszystko jest w absolutnym porządku. Miałam po prostu... grypę żołądkową. Ciężko ją przeszłam i wygląda na to, że jeszcze nie wróciłam do pełnej formy. Ale pracuję nad tym. I nie mogę się doczekać prób kostiumowych.

- Rozumiem - powiedział mężczyzna krzepiąco. - Często tak bywa, że tancerze wczuwają się w rytm dopiero, kiedy staną na prawdziwej scenie. Wiem, na co panią stać, Iliuszyn. I nie mogę się doczekać, aż znowu zobaczę panią w szczytowej formie. Cała choreografia ułożona jest pod panią; proszę nie zrobić mi zawodu.

- Ależ skąd, nie zwiodę pana, mistrzu - zapewniła z wystudowaną swobodą. Jeszcze chyba nigdy w życiu nie czuła się tak niepewnie.

Kiedy, po skończonym treningu tancerze opuścili studio, ona została. Wieczorna cisza nie przyniosła jej ulgi; wydawała się przytłaczająca. Ania chciała wrócić do swojego pokoju w hotelu, zanurzyć się w gorącej kąpieli... i coś zjeść. Tak, przede wszystkim zjeść. Marzyła jej się sałatka śledziowa z groszkiem, porem i kwaszonymi ogórkami. Albo sztuka mięsa z jej ukochanym sosem chrzanowym. Albo ogromna porcja lodów waniliowych ze świeżymi truskawkami. Ostatnio nic, tylko by jadła. Jeszcze nigdy nie było jej tak trudno oprzeć się pokusie. Ale na

swój obecny stan znała tylko jedno lekarstwo – więcej pracy. Więc wstała, i choć mięśnie miała obolałe od wysiłku, wzięła się za ćwiczenia, ignorując czarne plamy, wirujące przed oczami. Była gotowa pracować całą noc, jeśli będzie trzeba. Powtarzać każdy krok w nieskończoność, aż wyeliminuje wszelką możliwość pomyłki. Już nieraz tak robiła, wiedziała, że trochę więcej wysiłku jej nie zabije.

Poprawiła wiązanie point, podniosła się i weszła na parkiet. Nie bacząc na ból stóp, wspięła się na palce, wykonała kilka *pas*, zawirowała w lekkim, błyskawicznym piruecie... i bezwładnie oparła się o ścianę. Było jej słabo. Czuła, że jeśli zaraz nie usiądzie, zwyczajnie zemdleje.

Cóż jej pozostało? Powlekła się do hotelu, rozpaczliwie usiłując uchwycić się nadziei, że jutro będzie lepiej.

Niestety, było tylko gorzej. Kłopoty zaczęły się już za kulisami. Jak zawsze, gdy garderobiana przyniosła strój, Ania zdjęła peniuar i uniosła ramiona, by tamta mogła włożyć jej gorset. W następnej chwili poczuła z przerażeniem, że jest za ciasny. Jeszcze nie był zapięty, a ona już nie mogła zaczerpnąć tchu. Garderobiana szarpała bezlitośnie, ale nawet to nie pomogło. Gorset, choć uszyty na miarę, nie dopinał się. Takiego wstydu Ania nie najadła się chyba jeszcze nigdy. Była za szeroka w biodrach, zbyt obfita w biuście... Zaledwie o centymetr, może dwa, ale to wystarczyło, by nie mogła przeobrazić się w Ognistego ptaka. Siedziała rozebrana do bielizny, całkowicie bezradna wobec gniewnych pomruków garderobianej, która przygotowywała o numer większy, zapasowy gorset. Nie dopilnowała wagi. Nie dopilnowała linii. Jak to się mogło stać? Fakt, ostatnio miała ogromny apetyt, ale przecież odmawiała sobie... niemal wszystkiego.

Na przykład, od długich trzech tygodni walczyła z pokusą, żeby zadzwonić do Romana. Dostała jego numer od Libby, zapisała go w telefonie. Wystarczyło nacisnąć przycisk i poczekać, a usłyszałaby jego głos... Kiedy dopuściła do siebie myśl, jak bardzo za nim tęskni, poczuła, że zbiera jej się na płacz. A potem uległa pokusie. Drżącymi rękami wysupłała z torby telefon i wybrała zakazany numer.

- Halo? Ania, to ty? - odezwał się głęboki baryton.

Ze szlochem przerwała połączenie i wyłączyła telefon. Między nią i Romanem wszystko było skończone, sama podjęła taką decyzję. Teraz musiała wziąć się w garść, zapanować nad emocjami, wyjść na scenę. Może mogła jeszcze uratować twarz.

Niestety, kiedy orkiestra zagrała, a ona wykonała pierwsze kroki układu, już wiedziała, że cud się nie zdarzy. Jej ciało, które zawsze stapiało się w jedno z muzyką, teraz było ociężałe, bierne, jakby zrobione z drewna.

Jej stres udzielił się partnerowi. Nie mogło być inaczej; na scenie musieli stanowić idealnie zgrany duet, więc z łatwością wyczuwali swoje wzajemne emocje. Ponieważ oboje byli profesjonalistami, usiłowali robić dobrą minę do złej gry. Ale w pewnym momencie ona musiała skoczyć, a on - chwycić ją i wykonać efektowne noszenie. Ćwiczyli tę figurę setki, jeśli nie tysiące razy. A jednak tego dnia Misza nie zdołał jej wykonać. Ania poczuła, że jego ramiona drżą, chwyt staje się coraz mniej stabilny, coraz mniej pewny... i nagle wysliznęła się mu, ciężko upadła na deski sceny.

- Niewidziane, niesłychane. - Misza skrzywił się cynicznie. - Ognisty ptak utył i zamienił się w pularcę.

Mogła mu odpowiedzieć w równie niemiłym tonie, bo przecież było ewidentne, że to on popełnił błąd. Ale nie odezwała się ani słowem. Przybrała na wadze. Wszyscy usłyszeli ten zarzut i teraz kulila się pod ostrzałem oskarżycielskich spojrzeń. Każda tancerka w zespole katowała się dietą, przed premierą nikt nie miał prawa utył nawet o dekagram. Złamała jedną z podstawowych zasad, wciąż słyszała w głowie łoskot swojego upadku. Zaczynała mieć pewność, że z podobnym łoskotem zawali się cała jej kariera.

Próba wypadła fatalnie. Nawet choreograf nie znalazł tym razem słów pocieszenia. Ania schodziła ze sceny, z trudem panując nad atakiem paniki. Premiera zbliżała się wielkimi krokami, a ona nie potrafiła stanąć na wysokości zadania. Nadciągała totalna katastrofa, która miała pochłonąć nie tylko ją, ale też jej partnera i zespół. Istniały ważne powody, żeby się obawiać, że przedstawienie *Ognistego ptaka* w Paryżu okaże się totalną kla-

pą. Z jej winy.

Tego dnia nie czuła się na siłach, żeby choć planować dodatkowe ćwiczenia. Kiedy ogłoszono koniec prób, niemal wybiegła z teatru, dusząc się szlochem. Chciała dobrnąć do swojego hotelowego pokoju i rzucić się na łóżko. Potem świat mógł się skończyć, niewiele by ją to obeszło.

Roman potrafił być cierpliwy. Życie nie poskąpiło mu okazji, żeby trenować tę zdolność. Zamknięty w okratowanym skrzydle *Dietskiego Domu*, czekał cierpliwie na dzień swoich osiemnastych urodzin, który pragmatycznie ustalono pod datą przyjęcia bliźniaków do sierocińca. Będąc w wojsku, czekał na rozkazy. Jako finansista, czekał na okazję do zakupu i optymalny moment na sprzedaż. Teraz też czekał. Przez ostatni miesiąc nawet się nie zbliżył do hotelu, w którym zakwaterowano zespół baletowy, ani do opery, gdzie tancerze codziennie odbywali wielogodzinne sesje ćwiczeń. Nie chciał denerwować Ani, nie chciał wywierać na nią żadnego wpływu. Instynkt, wyraźniej niż kiedykolwiek, mówił mu, że powinien cierpliwie czekać. Czas działał na jego korzyść.

Oczekiwanie nie oznaczało bezczynności. Zwiedził kilka wystawionych na sprzedaż posiadłości pod Paryżem, takich z domem jednorodzinny i dużym ogrodem. Podejrzewał, że kiedy z Anią założą rodzinę, oboje będą woleli zamieszkać w kameralnym, spokojnym miasteczku, gdzie ratusz, kościół i szkoła stały przy jednym placu, a emeryci, grający w bule pod rozłożystymi platanami albo siedzący w kawiarnianym ogródku nad szklanczką wina, z przyzwyczajenia czuwali nad bezpieczeństwem dzieciaków, które kopały piłkę albo uganiały się na hulajnogach i rowerkach. Roman miał prawdziwą smykałkę do inwestycji, nie ignorował więc przeczucia, że najbardziej zyskowną ze wszystkich będzie ta we własną rodzinę. Dojrzał do tego, żeby się ożenić z kobietą, która zawsze była słońcem jego życia, i przywitać na tym świecie dzieci. Co najmniej dwójkę...

Kiedy trafił na dom idealny, w maleńkiej miejscowości Marly-le Roi, położonej wśród łagodnych, lesistych wzgórz, w krajobrazie przeciętym błękitną, meandrującą wstęgą rzeki, a do

tego znakomicie skomunikowanej z Paryżem, kupił na pniu, bez chwili wahania. I natychmiast rozpoczął remont wiekowego, kamiennego domu. Podobały mu się łagodne łuki wieńczące duże okna i ciemny kolor autentycznej, łupkowej dachówki. Zażyczył sobie dwóch dziecinnych pokoi, romantycznej sypialni, salonu z kuchnią i wielkim kominkiem, gabinetu i wszelkich, nowoczesnych wygód. W przypiływie fantazji zasugerował, by do domu dobudować przeszklony, nowoczesny pawilon w typie oranżerii, ze ścianą wyłożoną lustrami, wyposażony we wszelkie rekwizyty, jakich wymagało profesjonalne baletowe studio. Pieniądze czyniły cuda, robotnicy uwijali się jak w ukropie i z każdym upływającym dniem Roman widział wyraźniej, jak jego koncepcja nabiera realnych kształtów. O tak, miał nosa do inwestycji, i czuł, że trafił w dziesiątkę. Może ktoś uznałby go za zadufanego w sobie, ale on był przekonany, że właśnie tutaj przeżyją wiele szczęśliwych lat.

Był właśnie w Marly i doglądał postępu prac, kiedy zadzwonił telefon i na ekranie wyświetliła się informacja, że dzwoni Ania Iliuszyn. Uśmiechnął się z satysfakcją. Przeczucie go nie myliło – opłaciło się poczekać. W następnej chwili usłyszał jej stłumiony, rozpaczliwy szloch, a potem w słuchawce zaległa cisza. Satysfakcja zamieniła się w niepokój. Ekran nie zdążył jeszcze zgasnąć, a Roman siedział już za kierownicą swojego terenowego samochodu. Ruszył z takim impetem, że żwir trysnął spod kół. Na szczęście od centrum Paryża dzieliło go zaledwie czterdzieści minut jazdy. Był zdeterminowany, żeby zredukować je do pół godziny. Stać go było na mandaty.

Jednak kiedy dotarł do paryskiej Opery, wszystko wydawało się w porządku. Przekazał komu trzeba szeleszczący banknot i pozwolono mu wejść na nieoświetloną widownię. Ania tańczyła. Jak zwykle, zachwyty chwycił go za gardło. Patrzył długą chwilę, a potem powiedział sobie twardo, że powinien się wycofać. Usiadł na ławce naprzeciwko wejścia i czekał, skupiony jak żołnierz przed akcją. Zapadł wieczór, latarnie rozjarzyły się bursztynowym światłem, a on wciąż czekał. Gdy wreszcie zobaczył jej znajomą postać, poderwał się na równe nogi. Ania biegła przed siebie na oślep, jak gdyby goniła ją sfora demonów.

Kierowała się w stronę ulicy. Roman spojrział na nią, potem na nadjeżdżające samochody. Oceniał odległość i rzucił się naprzód.

Była już przy krawężniku jezdni, kiedy ją dopadł. Zamknął ją w ramionach, szarpnął w tył, a pęd powietrza wzniecony przez przejeżdżające samochody uderzył ich jak obuchem.

- Oszalałaś?! Co ty wy... - zaczął i urwał, kiedy Ania zwiotczyła w jego ramionach. Twarz miała ziemiście bladą, na czoło wystąpiły duże krople zimnego potu.

- Roman... - powiedziała słabo, uśmiechnęła się drżącymi wargami, a potem przymknęła powieki. Zemdlała.

Nie zastanawiał się ani chwili. Wziął ją na ręce i wielkimi krokami ruszył do samochodu. Pięć minut później zatrzymał się przed izbą przyjęć najbliższego szpitala i wniósł Anię do środka, nie bacząc na to, że zostawił kluczyki w stacyjce, a samochód w miejscu, gdzie parkowanie było surowo wzbronione.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ania otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą biały sufit. Leżała. Dlaczego leżała? I gdzie? Wnętrze nie przypominało jej hotelowego pokoju. Przestraszona, poderwała głowę i spojrzała prosto w oczy pochylającego się nad nią, zupełnie obcego mężczyzny.

- Nareszcie zdecydowała się pani do nas wrócić - powiedział mężczyzna po angielsku, z typowym dla Francuza, drewnianym akcentem. - Proszę spokojnie leżeć, przeprowadzimy podstawowe badania.

- Ależ nie, nic mi nie jest. - Spróbowała się podnieść, ale miała wrażenie, że jej głowa waży tonę. - Muszę...

- Musisz zastosować się do zaleceń doktora. - Roman stanął obok niej, zamknął jej rękę w swojej dłoni. - O nic się nie martw, będę cały czas przy tobie. Znasz francuski?

- Znam słownictwo dotyczące baletu i umiem zamówić proste danie w restauracji, to wszystko - uśmiechnęła się słabo.

- Cóż, nasz doktor chyba nie lepiej zna angielski, a rosyjskiego najprawdopodobniej nigdy nawet nie słyszał. Jeśli się zgodzisz, posłużę ci za tłumacza.

- Proszę... nie zostawiaj mnie. - Splotła palce z jego palcami, a on poważnie skinął głową, jakby składał przysięgę. Ania poczuła, że się odprężyła. Po raz pierwszy od miesiąca.

- Doktor pyta, czy miałaś wcześniej jakieś niepokojące objawy - przetłumaczył Roman.

- Nie. - Zastanowiła się. - To znaczy, tak. Jestem w silnym stresie. Od paru tygodni czuję się dziwnie. Miewam dolegliwości żołądkowe. Jestem ciągle śpiąca, wyraźnie osłabiona. Coś mi jest, a muszę wrócić do formy. Powiedz mi, że muszę jak najszybciej...

- Dobrze, spokojnie. Doktor pyta, kiedy ostatnio miałaś, hm, miesiączkę.

Ania zacisnęła zęby. Czekają ją kolejne upokorzenie. Już nie-raz słyszała od lekarzy, że wybór należy do niej – dopóki narzucała sobie tak wyczerpujący tryb życia, nie było mowy o powrocie do normalnego cyklu. Jej organizm, zmuszony do pracy na najwyższych obrotach, po prostu nie był w stanie zdobyć się na wysiłek, jakim była owulacja.

- Okresu nie miałam od roku – powiedziała sztywno, patrząc w bok. – A może nawet od półtora roku. I powiedz doktorowi od razu, że nie potrzebuję wykładu na temat życia, jakie wiodę, i jego konsekwencji.

Dlaczego nie nauczyła się francuskiego? Teraz Roman rozmawiał z doktorem, a ona nie rozumiała ani słowa. To było niesamowicie frustrujące, ale wołała o nic nie pytać. Czuła się wystarczająco zażenowana faktem, że musiała wtajemniczyć Romana w intymne szczegóły dotyczące swojej fizjologii. Lekarz zrezygnował jednak z dalszego wywiadu, za to wokół łóżka Ani rozpoczęła się gorączkowa krzątanina. Pobrano jej krew, podłączono kroplówkę. Chwilę potem przywieziono jakąś dużą, skomplikowaną maszynę i podłączono ją do prądu, a pielęgniarka, nie siląc się na jakiegokolwiek wyjaśnienia, obnażyła brzuch pacjentki. Kiedy lekarz przystawił czujnik do jej skóry i zaczął nim manipulować wpatrując się w monitor, zrozumiała, że przechodzi właśnie badanie USG i przestraszyła się nie na żarty. Nazwa strasznej choroby, która przedwcześnie zabrała matkę, pojawiła się w jej umyśle, budząc falę lodowatej, obezwładniającej paniki.

- Spytaj doktora, co mi jest – głos jej zadrżał. – To coś poważnego?

- Owszem. – Ku jej zdumieniu Roman uśmiechał się szeroko. – To coś bardzo poważnego.

- Jestem chora? – wydusiła z trudem. – Co mówi lekarz?

- Lekarz mówi, że jesteś okazem zdrowia. Wyniki morfologii krwi masz dobre, wszystko w normie. Obawiam się jednak, że nie obejdziesz się bez małego wykładu.

Mężczyźni znów zaczęli rozmawiać po francusku. Ania opadła na leżankę i zamknęła oczy. Stanowczo, cała sytuacja była jak z komedii, ale mimo to wcale nie było jej do śmiechu.

- Doktor mówi, że rzadko zdarza mu się widzieć pacjentki w tak znakomitej kondycji fizycznej. Jest pełen podziwu. Podkreśla jednak, że będziesz musiała zwolnić tempo i zacząć się lepiej odżywiać. Cięża to czas, w którym kobieta musi szczególnie o siebie zadbać.

- Jaka... cięża? - wykrztusiła, zrywając się z leżanki. Czy to był jakiś okrutny żart? A może Roman nie znał francuskiego tak dobrze, jak twierdził?

- Cięża. Najnormalniejsza w świecie. - Roman wciąż się uśmiechał. - Spodziewasz się dziecka. Doktor mówi, że sądząc po wielkości zarodka, to początek szóstego tygodnia. Dziecko rozwija się prawidłowo, podręcznikowo wręcz. Jeśli chcesz, możesz obejrzeć je na monitorze.

Chciała. W głowie miała kompletną pustkę, ale wiedziała jedno - jeśli nie zobaczy, nie uwierzy. Trudno było rozróżnić cokolwiek pośród ruchomych cieni, które zdawały się przelewać przez ekran monitora. Ale w końcu dostrzegła mały, ciemny bąbelek. Zamrugła, ale obraz nie zniknął. Uszczypnęła się w udo, ale nie nastąpiła pobudka - nadal siedziała w lekarskim gabinecie, i wpatrywała się w coś, czego nie mogła pojąć. Nosila w sobie dziecko.

- To niemożliwe - powiedziała słabo. - Nie mogę być w ciąży. Nie miesiączkuję, a to znaczy, że nie mam owulacji...

- Są rzeczy na ziemi i na niebie, o których nie śniło się... nawet doktorom - oświadczył sentencjonalnie Roman. - Najwyraźniej twój organizm się nie poddał. Musiałaś mieć owulację. Mniej więcej wtedy, kiedy odwiedziłem cię w garderobie londyńskiego teatru.

- Gratuluję wyczucia czasu - szepnęła.

Uśmiechała się coraz szerzej, nie mogła tego powstrzymać. W następnej chwili śmiała się w głos, a z jej oczu płynęły łzy. Dziecko. Ta maleńka, cichutka istota, która pojawiła się tak niespodziewanie i dyskretnie, ukryta w sekretnym schronieniu jej ciała, władała ogromną, tajemniczą potęgą. Właśnie w tej chwili, gdy Ania wpatrywała się w jej bladziutki zarys, cały świat wokół niej został stworzony na nowo. Świat Ani Iliuszyn nie był już wrogi, a ona nie była skazana na samotną walkę o sukces. Poja-

wiła się nadzieja, słodka i gorąca, jak wiosenne słońce po najdłuższej zimie. Pojawiła się radość, tak gwałtowna i wielka, że serce zdawało się zbyt małe, by ją pomieścić. Splotła palce z palcami Romana, mocno, niemal do bólu. I trwali tak, śmiejąc się i płacząc na przemian. Doktor wykazał się taktem i zrejterował za biurko. Miał do wypełnienia cały plik papierzysk.

- Myślałam, że nie mogę mieć dzieci. - Ania otarła łzy, opiekuńczym gestem przycisnęła dłonie do brzucha. - Dlatego... dlatego powiedziałam ci... - utknęła.

- Dlatego dałaś mi kosza, kiedy wreszcie poszedłem po rozum do głowy i nieporadnie usiłowałem poprosić cię o rękę? - podsunął. Wciąż się śmiał. Nie mógł przestać.

- Właśnie - przyznała. Ogromny ciężar, który przygniatał ją przez ostatni miesiąc, nagle przestał istnieć. Po raz pierwszy od bardzo dawna Ania zaznała rozkoszy swobodnego oddechu. - Wiedziałam, że chcesz mieć rodzinę, tak jak twój brat, więc skoro nie mogłam ci jej dać...

- Kto ci powiedział, że chciałem mieć to samo co brat? - Roman demonstracyjnie przewrócił oczami. - Chciałem po prostu ciebie - dodał, poważniejąc. - Ciebie, a nie jakiejś abstrakcyjnej, idealnej żony. To miały być oświadczyzny, a nie casting do roli. Ale ty zawsze musiałaś być najlepsza, wyrabiać dwieście procent normy, prawda? I nigdy nie potrafiłaś niczego sobie wybaczyć.

- Może i tak - zastanowiła się. - Ale przede wszystkim nie chciałam skazywać cię na bezdzietność.

- A dlaczego mielibyśmy być skazani na bezdzietność, nawet jeśli nie mogłabyś zająć w ciążę? - Zajrzał jej w oczy. W jego głosie pojawiła się nieznana Ani, żarliwa nuta. - Powiedz mi, czy nigdy nie myślałaś o tym... żeby wrócić do *Dietskiego Domu*...?

- Chciałbyś adoptować dziecko? - spytała ostrożnie. Ona też czasem o tym myślała... ale dopiero teraz, gdy Roman stał u jej boku, silny i wspierający, poczuła, że mogłaby sprostać i takiemu wyzwaniu. - A kto powiedział, że skoro jestem w ciąży, nie możemy tego zrobić?

- Moglibyśmy... - zaczął i urwał, słysząc znaczące chrząknię-

cie lekarza. Francuz skończył już wypełniać papiery i teraz podszedł do nich z plikiem skierowań oraz recept.

- Teraz, kiedy wiem, co mi jest, nie będzie mi tak żal rezygnować z tańca - szepnęła Ania, starając się zignorować ukłucie niepokoju.

Zaraz usłyszy listę zakazów i nakazów. Miała nadzieję, że uda się je przyjąć ze spokojem. Jeśli czegoś nie znosiła, to narzucanych ograniczeń.

- Doktor nie widzi powodu, dla którego miałabyś rezygnować z tańca, przynajmniej w ciągu najbliższych tygodni. Masz ciało atletki, a jak wiadomo, ciąża to nie choroba. Musisz po prostu spokojniej podejść do ćwiczeń i lepiej się odżywiać - przetłumaaczył Roman. - O to ostatnie nie musisz się martwić - dodał, obejmując ją ramieniem. - Zabieram cię do domu, tym razem nie chcę słyszeć żadnych protestów. Zamierzam osobiście dopilnować, żebyś się nie głodziła.

Nie protestowała. Tak naprawdę, nie mogła się już doczekać, kiedy Roman zabierze ją do domu. Przeczowała, że wspólna, romantyczna kolacja, a potem długa noc w ramionach ukochanego, okaże się najskuteczniejszą terapią.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Dziś wieczór będzie tańczyła.

Ta myśl, niczym iskra, obudziła w niej cichy, ukryty płomień. Ania uniosła powieki, ciężkie od scenicznego makijażu, a wielkie zwierciadło odpowiedziało jej rozmarzonym, szczęśliwym spojrzeniem jej własnych, szarozielonych oczu.

Tego wieczora chciała zatańczyć dla siebie. Może dlatego, że wreszcie doczekała się dnia, gdy Roman z całą pewnością miał być na widowni. I nie tylko on – Danil i Libby przyjechali z Londynu, miała też być Naomi i Rachel, Sev, a także, ku zdumieniu wszystkich poza tajemniczo uśmiechniętą Rachel, także Nikołaj. Po przedstawieniu wybiorą się do restauracji, żeby wspólnie uczcić zaręczyny Ani i Romana.

Garderobiana dopinała gorset, który trzeba było poszerzyć o kolejny centymetr, ale tym razem obeszło się bez gniewnie zmarszczonych brwi i oskarżycielskich spojrzeń. Starsza kobieta ukradkiem pogłaskała brzuch primabaleriny, po czym szybko cofnęła rękę.

- Trzymaj się, małeństwo. Mama zabiera cię na niezgorszą przejażdżkę – szepnęła, a Ania uśmiechnęła się do niej, wdzięczna za przyjazny gest.

Kiedy nadeszła pora, by wyjść na scenę, Ania uniosła dłoń, by rzucić jeszcze jedno spojrzenie na pierścionek. Wciąż nie mogła się na niego napatrzyć. Oprawa z białego złota, z dyskretnym, tradycyjnie rosyjskim ornamentem, nie przyćmiewała niezwykłego piękna kamienia. Duży, przejrzysty aleksandryt zdawał się pochłaniać światło. W promieniach słońca był zielony, a teraz, w blasku reflektorów, lśnił, intensywną, głęboką czerwień. Czyż mógł istnieć klejnot, który bardziej by do niej pasował? Nie sądziła. A o tym, ile musiał kosztować kamień tej klasy, wołała nie myśleć. Powinna teraz zdjąć pierścionek, na scenie nie było wolno nosić własnych ozdób. Nie zrobiła tego. Uca-

łowała chłodny kamień i ruszyła przez labirynt korytarzy, by, kiedy muzyka ją wezwie, pojawić się na scenie.

Branżowe strony internetowe, czasopisma i blogi zareagowały już następnego dnia. Pisano o niezwykłym występie primabaleriny Anii Iliuszyn.. Każdy jej krok poddawano szczegółowej analizie, zadawano szereg pytań, wyciągano najrozmaitsze wnioski, ale wszyscy zgodnie odnotowywali nagłą, uderzającą zmianę jej stylu. Dotąd jej znakiem rozpoznawczym była swobodna, niemal dzika ekspresja. Podczas paryskiej premiery jej taniec był... pełen nieokreślonej, chwytającej za serce czułości. Nikt nie wiedział, jak osiągnęła ten fascynujący efekt. Zapytana wprost, podczas wywiadu, którego udzielała za kulisami, uśmiechnęła się tajemniczo.

- Miłość i taniec - powiedziała - to dwa bieguny tej samej harmonii. Oczywiście, technika to dla tancerki podstawa. Ale najważniejsza jest miłość.

Jak gdyby po chudych latach przyszły tłuste, miłości w życiu Anii Iliuszyn było z każdym dniem coraz więcej. Pokochała paryskie mieszkanie Romana, a jeszcze bardziej - dom w Marly. Mogła tutaj wychowywać dziecko, równocześnie trenując w przydomowym studiu. Mogła nawet otworzyć swoją własną szkołę baletową. Nie wątpiła, że znalazłoby się aż zbyt wielu chętnych, gotowych przyjeżdżać do podparyskiej miejscowości, żeby ćwiczyć pod okiem Anii Iliuszyn...

Kochała dziecko, które swoim niespodziewanym pojawieniem się połączyło ją i Romana na zawsze. Na kolejnym badaniu USG mogli zobaczyć wyraźnie zarysowany maleńki profil i coś jeszcze, z czego wynikało niezbicie, że urodzi się im synek. Postanowili, że nadadzą mu imię Dominik. A potem przyszedł niezwykły moment, kiedy wybrali się w podróż do Sankt Petersburga i stanęli przed drzwiami *Dietskiego Domu*. Przed laty, gdy ich dni upływały w jego murach, byli biedakami. Teraz byli bogaci i nie chodziło tylko o pieniądze, choć one wiele ułatwiały. Mieli siebie nawzajem i tyle miłości, że nie bali się niczego, nawet złych wspomnień. Oboje czuli, że chcą podzielić się tą miłością z kimś jeszcze.

- Jest tu wiele dzieci, które mogą pójść do adopcji. - Dyrektorka aż zamrugła ze zdumienia, kiedy Roman wręczył jej dowód wpłaty opiewający na sześciocyfrową kwotę. Instytucja, którą zarządzała, otrzymała właśnie bardzo hojną darowiznę. - Proszę, niech państwo zajrzą do naszej świetlicy, gdzie bawią się maluchy.

Poszli powoli, długim korytarzem, który usiłowano ożywić, malując ściany na kanarkowy kolor i wieszając wesołe obrazki. Efekt, niestety, był raczej mizerny.

- Mamy wybrać sobie dziecko? - wyszeptała Ania, ciężko spłoszona. Roman nie odpowiedział, rozłożył tylko ręce. Absolutnie nie potrafił sobie tego wyobrazić. Jak można wybrać jedno spośród tylu samotnych dzieci? Na podstawie jakich kryteriów? Mieli wziąć najładniejsze i najgrzeczniejsze? Gdzie w tym wszystkim była sprawiedliwość?

Otworzyli drzwi, zatrzymali się w progu, niepewni, śmiertelnie stremowani. I zupełnie nieprzygotowani na kolejny cud.

Nie musieli wybierać dziecka. Po prostu je zobaczyli, oboje w tym samym momencie, a potem popatrzyli na siebie. I już wiedzieli. Miłość odnalazła ich, chwyciła za serce. Byli bezbronni.

Miała około trzech lat. Jej włosy były jasne jak len i nieprawdopodobnie wręcz rozczochrane. Właśnie unosiła w górę swoje małe rączki i drobiła nóżkami, obracając się w tył nieporadnym, co uroczym pląsie i wydając przy tym zachwycone piski.

- Proszę nam opowiedzieć o tej dziewczynce - zwrócili się do opiekunki, kobiety o szarej, zmęczonej twarzy.

- Ach, ona. -Opiekunka machnęła ręką. - *Wsięгда tancujet*. Bawi się w baletnicę... chyba naprawdę wierzy, że nią jest. Biedna mała.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pewnego dnia została baletnicą, jeśli tylko będzie miała taką chęć - powiedziała Ania powoli, a Roman tylko się uśmiechnął.

- Myślę, że nie musimy się dłużej zastanawiać.

- Może jednak powinni państwo przemyśleć tę decyzję. - Opiekunka nie odwzajemniła uśmiechu. - To dziecko ma przecież Zespół Downa!

- Zauważyliśmy - odpowiedzieli spokojnie. Zauważyli wiele, wiele więcej. Błysk radości w oczach małej. Bez troskę, którą emanowała, choć jej życia nie można było nazwać szczęśliwym. Była jak promyk słońca w tym szarym miejscu.

- Mamy tu dużo zdrowych dzieci. Nie rozumiem, po co się upierać... - drążyła kobieta.

- My też tego nie rozumiemy. - Roman rozłożył ręce. - Ale po prostu wiemy, że to właśnie jest nasza córka.

W tym momencie dziewczynka przerwała swój taniec i rzuciła się pędem ku nowo przybyłym. Ania nie zastanawiała się ani chwili, po prostu kucnęła i szeroko rozłożyła ramiona. A mała, jakby rozumiejąc, że ma przed sobą mamę, wpadła w jej objęcia jak mały, słodki pocisk.

Załatwianie formalności trwało całe dwa tygodnie. Kiedy wreszcie wszystkie decyzje zostały wydane, a dokumenty podpisane, Ania i Roman wyszli z *Dietskiego Domu*, trzymając za rękę swoją córeczkę. Dziewczynka podskakiwała i śpiewała na całe gardło, a oni milczeli, wzruszeni. Wiedzieli, że przyjdą trudne dni, kiedy trzeba będzie zmagać się z chorobą małej Moniki. Chcieli zrobić wszystko, żeby podarować jej kolorowe, piękne życie. Takie, na jakie zasługiwała.

Wsiadając do samochodu, Ania spojrzała jeszcze raz na szary gmach otoczony wysokim murem. Szczęście to bardzo tajemnicza sprawa, pomyślała. Niektórzy byli urodzonymi szczęściarzami, inni szukali go bezskutecznie przez całe życie. A byli i tacy, którzy, jak ona i Roman, odnajdywali je w naprawdę dziwnych miejscach...

Położyła głowę na ramieniu ukochanego, czułym gestem przygładziła wciąż rozczochrane włosy Moniki. Jednego była pewna - skoro znaleźli szczęście, zatrzymają je. Będą się kochać aż do śmierci, wychowają dzieci, może nawet doczekają się wnuków...

Czekało ich zwyczajne życie. Oboje dobrze wiedzieli, że nie ma na tym świecie niczego bardziej niezwykłego.

Tytuł oryginału: Return of the Untamed Billionaire
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2016
Redaktor serii: Marzena Cieśla
Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla
Korekta: Anna Jabłońska

© 2016 by Carol Marinelli

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3171-8

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Strona redakcyjna